

Wpisana do katalogu powstania
2 Wojennej Biblioteki Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 30. Vll 1968

Dziś w numerze: ● Dyskusja przedzjazdowa ● Herr Doktor ● Załoga i tezy
● Rozmowa z Tadeuszem Chróścielewskim o przekładach poezji, o prozie
i sprawach wydawniczych ● "Kurkawka" zmienia krajobraz
● Wiersze ● Felietony ● Recenzje

odgłosy



35 (564)
I. IX. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



Fot. Z. Sander

KAROL BADZIAK

PETROPOLIS

Do błękitnej wstęgi Wisły coraz więcej kombinatów się przyczepia. Jak brdery. A wstęga coraz mniej błękitna. Wisła, z królowej polskich rzek coraz bardziej staje się królową polskich ścieków. Taka jest cena industrializacji dorzecza. Płock na tej wstędze najwięcej waży. Tutaj spotyka się rzeka wody z rzeką ropy naftowej. Z tego spotkania wiele wynika. Dla Polski, dla Płocka, dla gospodarki, dla procesów społecznych, nie mówiąc już o procesach chemicznych. Choć i te widoczne gołym okiem.

Kiedy akurat dojeżdżałem do miasta kontemplując piękno nadwisiańskiej skarpki, unosiła się nad domami czarna chmura dymu. W dali, wysoko w gorze płonęły ognie kominów. Współczesne znicze. Ale dopiero noca stanowią piękny widok. Groźny, dumny, patetyczny. Zresztą straszny się przymiotników. Może to awaria krakingu. Kraking - ołbizyma piec, w którym pod wysokim ciśnieniem, w temperaturze wieluset stopni, poddaje się ropę naftową wstępnemu uszlachetnieniu. Ropa solwająca rurociągiem z dalekich pól Kazachstanu poddawana jest tutaj destylacji rurowo-wieżowej i setkom różnych procesów rafineryjnych, chemicznych i petrochemicznych.

Petrochemia płocka rozwiązuje naszymu krajowi mnóstwo gospodarczych problemów. Zdejmuje z głowy wiele kłopotów nam wszystkim i każdemu z osobna. Zmоторzowanym załatwia etyline 80. Do tej porę ją importowaliśmy. Poza benzyną daje smary, oleje, asfalt, siarkę, glikol, aceton, fenol, koks na elektrody i gazy parafinacyjne. Ogółem blisko tysiąc różnych produktów. Polibutadien. Służy do wyrobu kauczuku. Politropylen. Służy do wyrobu mas plastycznych. Z mas tych robi się taśmy filmowe, folie do opakowań, galanterie plastikowe. Toluen i ksylen - na włókna anilowane. Butan i propan - tanie środki opałowe. Ponadto szereg surowców wyciowych niezbędnych do produkcji środków piorących, czyli IXL, OMO, FF itd. Do produkcji lekarstw dla ludzi i trzcin na robactwo.

A teraz trochę buchalterii. Całość inwestycji płockiej wyniesie 27 miliardów zł. W przeliczeniu na głowę każdy z nas za-inwestuje w płocką imprezę prawie tysiąc zł. Na razie przerabia się tutaj 4 miliony ton ropy rocznie. W 1975 roku przerabiać się będzie 9 milionów ton. A zyski? Już w trakcie budowy kombinat się amortyzuje. Inwestycja więc jak darmo.

Oczywiście pięknie się o tym wszystkim pisze. Kombinaty robi wrażenie na człowieku nawet niewrażliwym, imponujące wie-

Dalszy ciąg na str. 5

BOGDA MADEJ

Portret Marii

(REPORTAŻ WYROZNIONY NA KONKURSIE „ODGŁOSÓW”)

Na tle rozżarzonych lun bijących od hutniczych pieców poruszają się półnagie postacie mężczyzn. Jest bardzo gorąco i skórę pracujących ludzi pokrywają krople potu, czerwone od blasku palenisk. Na końcach długich rurek, w które dmuchają hutnicy wibrują dużo większe kule koloru ognia. Może tak samo wyglądali tytani z greckich mitów, albo średnio-wieczni alchemicy.

Maszyna zamienia owe kule koloru ognia na zwykłe szklanki. Olbrzymia hala to jedno z pomieszczeń

piołrkowskiej huty szkła. Maszyna ta to zatapiarka, a obsługująca ją dziewczyna ma na imię Maria. Ma dwadzieścia dwa lata, spełnia więc podstawowy warunek; szukaliśmy przecież młodego Polaka.

1.

Trudne dzieciństwo - banalny termin, który od częstego powtarzania utracił pierwotny sens. Gdy Maria opowiada o swoim dzieciństwie nie mówi - było trudne. My możemy użyć tego terminu i będzie to początek życiorysu ze schematem.

Urodziła się w Łodzi, już po wojnie, a ściślej w 1946 roku. Rodzice w poszukiwa-

niu pracy przywędrowali tu ze wsi, że jedynak Łódź nie okazała się ziemią obiecaną, po kilku latach wrócili do Raciborowic.

Maria miała wtedy 6 lat i te fragmenty swojego życia zna przede wszystkim z opowiadań matki. Dziadkowie trochę krzywo patrzyli na swoje. Jeszcze niedawno „miastowe” dzieci. Przybyło wprawdzie rąk do pracy, ale też więcej talerzy trzeba było napędzać zupą. Mieszkanie pod wspólnym dachem ciągle stwarzało powody do kłótni, które wybuchaly coraz częściej. Ojciec Marii zbudował wtedy dom. Na zewnątrz była to bardziej szopa niż dom, wewnątrz znajdowała się jedna izba. W skłębionym prowizorycznie mieszkaniu ściany były cienkie, szybko pokryła je wilgoć, a zimą cieni-

Dalszy ciąg na str. 4



Wspólna decyzja pięciu krajów — sygnatariuszy Układu Warszawskiego: Bułgarii, NRD, Polski, Węgier i ZSRR o udzieleniu narodowi czechosłowackiemu pomocy, łącznie z pomocą wojskową, przyjęta została w naszym kraju ze zrozumieniem i poparciem. Jest ona bowiem konsekwencją z góry 7-miesięcznego procesu, jaki narastał w kraju południowego sąsiada, procesu, który społeczeństwo polskie obserwowało z uzasadnionym niepokojem.

Zapoczątkowany styczniowym plenarnym posiedzeniem KC KPCz tok wydarzeń, które służyć miały odnowie, prowadzonej z inicjatywy partii i pod jej kontrolą, niemal od pierwszej chwili wykorzystany został przez siły prawicy do narastającego działania, mającego zepchnąć Czechosłowację z jej socjalistycznej drogi rozwoju i wyłączenia z naszej wspólnoty. Słuszne hasła likwidacji wypaczeń poprzedniego okresu z początku stały się zasłoną dymną do prowadzonej konsekwentnie działalności antysocjalistycznej, wspieranej z zewnątrz. Z początku, bo w późniejszym okresie już nawet nie starano się maskować — niemal z dnia na dzień jawnie podważając socjalistyczne podstawy Czechosłowacji i jej dorobek.

Siły prawicy, które prowadziły ten atak, czekały na sprzyjający moment przez wiele lat, aby poderwać zaufanie społeczeństwa do partii i zakwestionować jej prawo do kierowania narodem. Siły te miały utatowane zadanie. Przede wszystkim dlatego, że wyszły im naprzeciw niektóre tendencje wewnętrznie, reprezentowane przez część ekipy kierowniczej oraz dlatego, że środki masowego oddziaływania: prasa, radio i telewizja stały się domeną rewizjonistycznych, a często jawnie antysocjalistycznych elementów. Dezorientacja opinii publicznej była ważną bronią w rękach połączonych sił reakcji, syjonizmu i rewizjonizmu. To właśnie za pośrednictwem prasy, radia i telewizji podjęto szeroką kampanię skompromitowania partii i części jej kierownictwa, ludzi, którzy mieli publiczną odwagę przestrzegać społeczeństwo przed groźącymi Czechosłowacji niebezpieczeństwami. Ze szpalt gazet i audycji radiowo-telewizyjnych mniej lub bardziej otwarcie nawoływano do naruszenia ładu społecznego i prowadzono kampanię oszczerstwa przeciwko Związkowi Radzieckiemu, NRD, Polsce... Doszło przecież do tego, co uprzednio nie miało precedensu w stosunkach między krajami socjalistycznymi, że oficjalnie — notą musieliśmy przeciwko temu zaprotestować. Równocześnie dziennikarze czechosłowaccy otwierali nawijali kontakty z „Wolną Europą”, wyjeżdżając do Monachium i zapraszając do siebie redaktorów z ośrodków dyversyjnych.

W takiej atmosferze, jak przysłowiowe grzyby po deszczu, zaczęły się mnożyć różnego rodzaju opozycyjne kluby i organizacje nie mieszczące się w ramach frontu narodowego, które korzystając z bezkarności organizowały publiczne kampanie zbierania podpisów, żeby chociażby wspomnieć o kampanii, zmierzającej do likwidacji Ludowej Milicji. Cel tych kampanii było oczywiste — osłabić socjalistyczną Czechosłowację, „deformować ustrój”, sterować kraj w kierunku Zachodu. Nieprzypadkowo przecież na linii Bonn — Praga zaczęli kursować różni przedstawiciele kół rządzących w NRD, a granice Czechosłowacji przekraczały całe kawalkady „turyści” zachodniemieccy.

W Czechosłowacji TRWAŁ PROCES KONTREWOLUCJI, która współcześnie wcale nie musi mieć zbrojnej postaci.

To, co działo się ostatnio u naszego południowego sąsiada przekroczyło — rzecz oczywista — rozmiary wewnętrznie czechosłowackiego problemu. Dlatego w Dreźnie, Mo-skowie i Warszawie, a następnie w Czernej i Bratysławie dyskutowano o sytuacji w Czechosłowacji. Bilateralne rozmowy w Czernej nad Cisą przyniosły porozumienie, które utworowało drogę naradzie partyjno-rządowych przedstawicieli 6 krajów socjalistycznych w Bratysławie. Jej wynik przyjęty został z zadowoleniem. Cóż, kiedy część kierownictwa KPCz działała w kierunku nierealizowania postanowień. Wyczekiwano na XIV nadzwyczajny zjazd, w przekonaniu, że zaoprobuje on ich działanie.

Bratnie kraje wykazały wiele cierpliwości i maksimum dobrej woli, nie zaniedbały, jak się wydaje, niczego, aby wypadki nie potoczyły się torami, na które trzeba było się zdecydować 21 sierpnia. Z rad i wspólnych ustaleń nie skorzystano, trzeba było więc podjąć bardziej radykalne środki obrony zdobyczy socjalizmu w Czechosłowacji.

Tocząca się kontrrewolucja w Czechosłowacji stała się żywotnym niebezpieczeństwem dla interesów państw socjalistycznych. „Kontrrewolucjonizm — czytamy w „Odezwie pięciu rządów państw socjalistycznych do obywateli CSRS” liczyła na to, że w skomplikowanej i napiętej sytuacji międzynarodowej, wywołanej agresywnymi poczynaniami amerykańskiego imperializmu, a zwłaszcza aktywizacją sił odwetowych w Niemczech zachodnich, uda się im wyrwać Czechosłowację ze wspólnoty państw socjalistycznych”. Czy trzeba komukolwiek wyjaśniać, co to oznaczałoby? Że prowadziłoby do zmiany układu sił w Europie na korzyść imperializmu, że dałoby mu możliwość penetracji na południowej flance naszego obozu. Krzyk, jaki wstrząsła odważną decyzją pięciu krajów Układu Warszawskiego, w kołach imperialistycznych, a w szczególności w Niemczech zachodnich, jest najlepszym potwierdzeniem, jak wielkie perspektywicznie nadzieje związane z procesem kontrrewolucji w Czechosłowacji. Czy wobec takiej sytuacji, której skutki przede wszystkim odczuciłoby Polska, Węgry, NRD, ZSRR i Bułgaria, można było obojętnie patrzeć na rozwój wydarzeń? Pytanie, na które odpowiedź poddyktowała racja stanu, troska o bezpieczeństwo i pokój, o nasze szczęśliwe życie.

W Odezwie grupy członków KC KPCz, rządu i Zgromadzenia Narodowego CSRS czytamy ważne słowa:

„Czechosłowacja może się rozwijać tylko jako kraj socjalistyczny i jako nieodłączna część składowa wspólnoty socjalistycznej, której siła i trwałość stwarzają podstawy dalszych perspektyw międzynarodowego ruchu rewolucyjnego; każde osłabienie i podważenie obozu socjalistycznego wyrządziłoby trudną do wyobrażenia sobie szkodę sprawie postępu rewolucyjnego i socjalizmu na świecie”.

Podpisujemy się pod tymi słowami. Z wiara, że nasz bratni kraj przezwycięży obecny kryzys, czego szczerze narodowi czechosłowackiemu życzymy.

W. SŁAWSKI

DYSKUSJA PRZEDZJAZDOWA

Włókniarze na wczasach

Tezy na V Zjazd partii postulują sukcesywne skracanie czasu pracy wszystkich pracowników o 46-godzinny tygodniu pracy. W pierwszym rzędzie dotyczy to przemysłów zatrudniających wysoki procent kobiet. Skrócony czas pracy, to przedłużony czas wypoczynku. Tezy zjazdowe przewidują również — na przestrzeni paru lat — wprowadzenie nowych norm urlopów robotniczych, przedłużających okres urlopowy do 26 dni po 10 latach pracy zawodowej. Obydwa te postulaty kierują uwagę w stronę działalności socjalnej zakładów pracy i związków zawodowych, w stronę lepszej i szerszej niż dotychczas organizacji wczasów pracowniczych.

Na ten temat właśnie, o dotychczasowym dorobku, brakach i perspektywach rozwoju rozmawiamy z ANTONIM DOMAGALĄ, sekretarzem Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, związek, który w naszym mieście skupia największą liczbę pracowników.

— Czy sytuacje, jaka istnieje obecnie w dziedzinie organizacji wypoczynku urlopowego można uznać za zadowalającą?

— Przez wiele lat przemysł lekki w ogóle nie miał czym pochwalić się w dziedzinie działalności socjalnej. Po pierwsze, nie uwzględniano przy budowie nowych obiektów przemysłowych inwestycji socjalnych: żłobków, przedszkoli, domów kultury, stołówek, ba zdarzało się, że nawet szatni. Drugą przyczyną zacofania przemysłu lekkiego w dziedzinie socjalnej w stosunku do innych gałęzi przemysłu, były zbyt małe dotacje z budżetu państwa na budowę i rozwój wyżej wymienionych inwestycji, a także ośrodków wczasowych i kolonijnych. W ostatnich latach sytuacja uległa poprawie. Podjęto decyzje o obowiązkowej uwzględniania inwestycji socjalnych w planach nowego budownictwa przemysłowego, zaś w dziedzinie dotowania poprawa jest już widoczna. O ile np. w 1965 roku przemysł lekki otrzymał z budżetu państwa 15 milionów złotych, to w 1966 roku dysponował kwotą 36 milionów, a na bieżący rok otrzymał 64 miliony. Całość sum, jakie przemysł lekki przeznaczył na sprawy socjalne wyniosła w 1967 r. — 265 mln zł, w bieżącym — 304 mln, a w przyszłym przewiduje się 320 mln zł.

— Jaki procent kobiet zatrudnia przemysł włókienniczy?

— Średnio około 68 procent, w tym największej przemysł odzieżowy, bo ponad 74 procent. Ten właśnie fakt, w świetle tezy, nakłada na nas szczególnie ostro obowiązek dołożenia wszelkich wysiłków dla nadrobienia zaległości w dziedzinie budowy takich urządzeń socjalnych, jak żłobki, przedszkola, a także zwrócenia szczególnej uwagi na poszerzenie form wypoczynku wakacyjnego i kwiatkowego.

— Mówi się często, że robotnicy niechętnie korzystają z wczasów pracowniczych i tym tłumaczy się przewagę pracowników umysłowych w domach wypoczynkowych. Czy to prawda?

— Może ma to miejsce na wczasach FWP. My natomiast mówimy o wypoczynku zorganizowanym przez zakłady pracy. Nasze statystyki wykazują ponad 90 procent robotników korzystających z domów wypoczynkowych. Zawsze są to jednak wczasy rodzinne. Ta forma bowiem jest wśród robotników najpopularniejsza i przyjęła się najszerzej.

— Czy wobec tego mówimy o wczasach campingowych, co do których było tyle zastrzeżeń i które złośliwi nazwali „wczasami w psich budach”?

— Tych ostatnich jest coraz mniej, obecnie zakłady budują tylko domy murowane. Najprostsze domki campingowe są likwidowane stopniowo, ale systematycznie. Zakłady pracy i zjednoczenia wybudowały w ostatnich latach sporo wygodnych, nowoczesnych domów wypoczynkowych na przykład w Kolobrzegu, Uście, Augustowie, Charzykowie, Ostrowie-Pustkach i innych. My ze swej strony przeprowadziliśmy weryfikację ośrodków wypoczynkowych i na 102 istniejące 86 zakwalifikowaliśmy jako wygodne, odpowiadające wymaganiom dobrego wypoczynku.

W tym nowoczesnym, dobrym budownictwie produkuje Zjednoczenie Przemysłu Włókienniczego w Bielsku, gdzie duża aktywność przejawia również zarząd okręgu związku. Z inicjatywy tego zjednoczenia

zbudowano w Kolobrzegu międzyzakładowy ośrodek wczasowy, którego właścicielami jest pięć zakładów bielskich i Polska Wełna w Zielonej Górze. W tej chwili Zarząd Okręgu w Bielsku prowadzi rozmowy z władzami terenowymi w Kolobrzegu, by wczasowicze mogli korzystać z zabiegów i pobyt na wczasach wykorzystać jako kurację balneologiczną. Najprawdopodobniej zrealizuje się to już w przyszłym roku. Notabene my mamy podobne zamiary wobec naszego ośrodka w Arturówku, który będzie my rozbudowywać.

A więc przemysł lekki dysponuje 102 ośrodkami wypoczynkowymi. Ile to miejsc?

— 8.035 miejsc, z których w tym roku skorzysta 42.628 wczasowiczów.

— To chyba na 566 tysięcy członków waszego związku nie jest zbyt wiele?

Nawet ta niezadowalająca liczba miejsc nie jest właściwie wykorzystana. Kierownictwa ośrodków przejawiają tendencje do skracania działalności domów wczasowych. Na 102 organizatorów tylko 11 prowadzi do dziesięciu turnusów, większość ogranicza się do pięciu—sześciu. A przecież nawet nad morzem i początek czerwca i koniec września są atrakcyjne. W tej sprawie usiłujemy przełamać wygodnictwo organizatorów wczasów.

— Cały czas mówimy o akcji wczasowej w skali ogólnopolskiej. A jaki jest udział robotników łódzkich?

— W cyfrach bezwzględnych Łódź i województwo stoją na jednym z pierwszych miejsc. Ale jest to pozorne, bo Łódź jest wielkim ośrodkiem przemysłowym. Procentowo, w stosunku do liczby pracowników, wygląda to znacznie gorzej. Dla przykładu: Zjednoczenie Przemysłu Bawełnianego w Łodzi, zatrudniające 130 tysięcy osób, w tym większość łódzian, prowadzi 23 ośrodki wczasowe, z których korzysta 8.190 osób. Zjednoczenie Przemysłu Wełnianego Południe w Bielsku, zatrudniające 25 tysięcy osób prowadzi 6 ośrodków, z których korzysta 1.820 osób. Zjednoczenie Przemysłu Wełnianego Północ w Łodzi, zatrudniające 35 tysięcy osób ma 4 ośrodki wczasowe dla 2.330 osób.

— Czyli można stać wysnuć wniosek, że bardzo wiele zależy od energii i inicjatywy zjednoczeń i że niektóre łódzkie zjednoczenia tej inicjatywy i energii nie przejawiają?

— Za tym przemawiają fakty. Ciągłe czynne starania, by przekonać administracje łódzkich zakładów pracy, że sprawy wypoczynku mają również wpływ na sprawy produkcji i wydajności pracy, ale idzie to dość opornie. Ośrodek w Sulejowie to głowa na baza wypoczynku łódzkich włóknarzy. Ale to przecież głównie właśnie camping. Warto, by łódzkie zakłady, wzorem ZPDZ im. Nowotki w Piotrkowie, przystąpiły do budowy awilonów i likwidacji domków campingowych.

Chciałbym tu przy okazji wspomnieć, że z okazji 60-lecia związku i dla uczczenia zbliżającego się Zjazdu partii Zarząd Główny ogłosił konkurs na najlepszy ośrodek wczasowy. Myślę, że konkurs ten będzie jakimś bodźcem dla organizatorów ośrodków.

— Czy zakłady przemysłowe, a także związki zajmują się również organizowaniem akcji wypoczynkowej dla dzieci i młodzieży?

— Prowadzone są obozy dla młodzieży pracującej i uczniów szkół przyzakładowych. Są to 2-tygodniowe wczasy pod namiotami. Cieszą się one dużą popularnością i akcja ta rozwija się z roku na rok. W 1962 r. obejmowała 1.400 uczestników, w tym — ponad pięć tysięcy. Tu najlepiej wypadły województwo łódzkie i Radom. Jeszcze szersze rozwinięcie tej akcji natrafia na przeszkody natury finansowej.

Nie mniejszą troską naszą są kolonie dla dzieci. Jest ich stanowczo za mało. Na 100 tysięcy dzieci uprawnionych, z kolonii może korzystać tylko 49.800. I w tej dziedzinie przemysł lekki ma poważne zaległości do odrobienia. Ostatnio zakłady pracy zawierają umowy z władzami terenowymi, budującymi szkoły 1000-lecia. Zakłady partycypują w finansowaniu niektórych urządzeń szkolnych jak stołówki, kuchnie itd., a za to uzyskują prawo do korzystania z budynków szkolnych w czasie lata.

Naszą poważną troską jest również, szczególnie w Łodzi, organizacja opieki nad dziećmi pozostającymi w mieście — półkolonie i wczasy w mieście. Dotyczy to również ferii zimowych, kiedy zajęcia z dziećmi prowadzi się w domach kultury, świetlicach i obiektach sportowych.

Spraw tych jest wiele i wiele jest do zrobienia, a także do odrobienia. Myślę jednak, że robi się sporo i będzie robić jeszcze więcej.

— Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

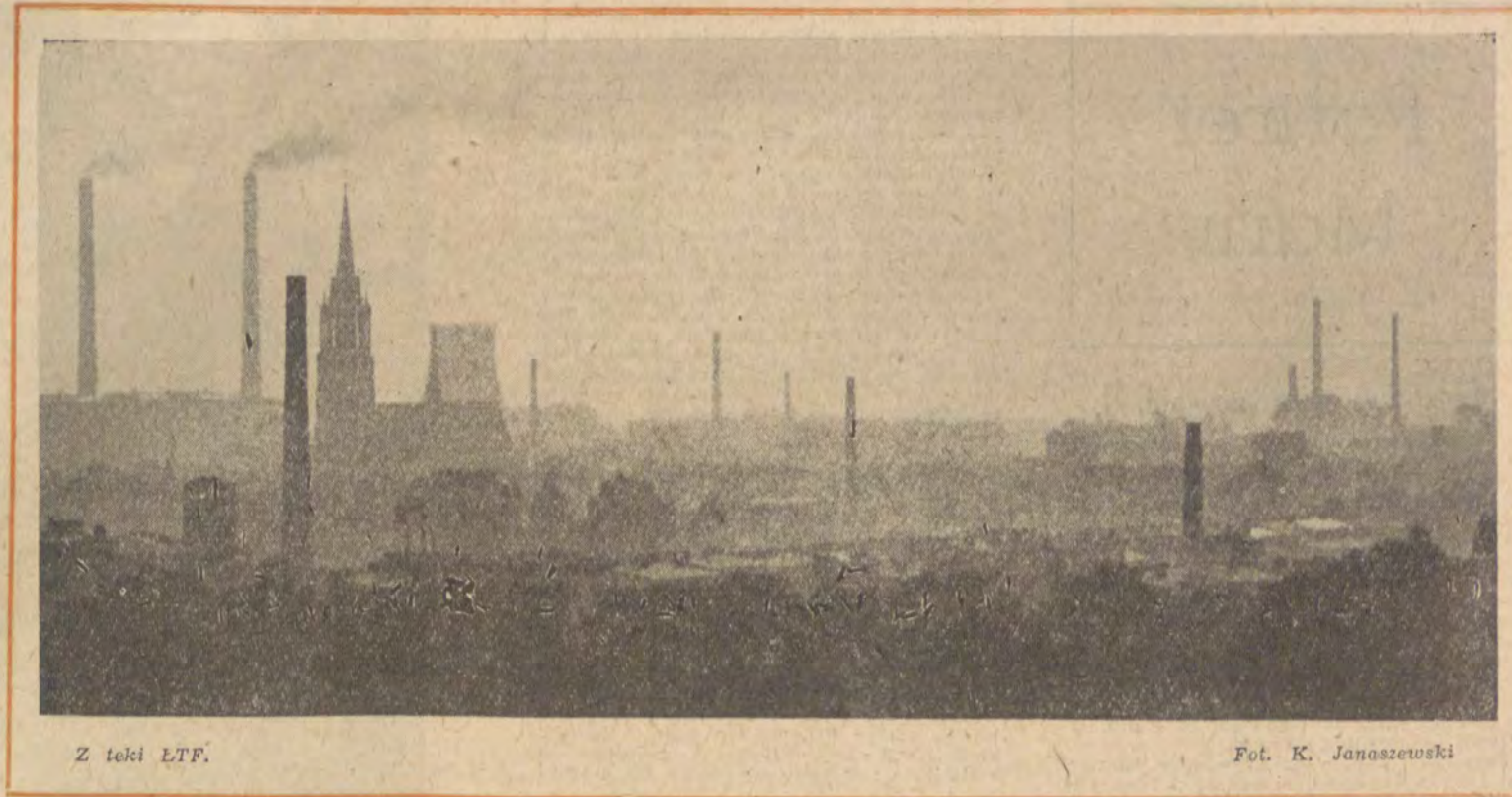
Załoga i tezy

Mówią o nich, że z niczego potrafią robić rzeczy ładne i atrakcyjne. Chodzi tu o krajowe włókno wiskozowe, w którego przerobie 3-tysięczna załoga „Dubois” wyspecjalizowała się jak nikt inny w całej branży. Wysokiej jakości tkaniny sukienkowe znalazły sobie odbiorców w wielu krajach świata. Stroje uszyte z tkanin „Dubois” noszą dziś kobiety w Sudanie i Iraku, Jordanii i Arabii Saudyjskiej, Algierze i NRF i nawet w Sierra Leone — co drugi metr tkaniny wędruje przez Łódźką „CeTeBe” na rynki zagraniczne. Jego eksportu jest w ciągu roku ponad 17 i pół mln m i stanowi on chyba najwartościowszą stronę wizytówki „Dubois”. Dlatego też może dzisiaj, gdy w całym kraju przymierzają się tezy do codziennej praktyki fabryk i ich przyszłości, również w „Dubois” na czoło dyskusji przedzjadłowej wysuwa się kwestia losu zakładów.

Punktem wyjścia jest tu decyzja jaka zapadła w resortie i zjednoczeniu — po roku 1970 „Dubois” ma zlikwidować własną wykończalnię i ograniczyć się do pracy na dwóch oddziałach, przedzalni i tkalni. Do wykończenia będzie się posyłać tkaniny surowe innej fabryce. Załoga na tym właściwie nie straci, bo wykończalnicy łatwo znajdą pracę w innych fabrykach łódzkich. Ale przecież już teraz w rozmowach po od działach i zmianach wychodzi na jaw, że ważniejsze są ambicje ludzkie i przywiązanie do fabryki. Wykończalnicy „Dubois” bo wiem dostali twardą szkołę nim opanowali procesy farbiarskie, drukarskie i wykończeniowe tkanin z polskiej wiskozy. Nim można było z tymi tkaninami wejść do sklepów w naszym kraju i — co jeszcze ważniejsze — nim zechcieli na te tkaniny spojrzeć kupcy z szerokiego świata.

A wykończalnia ma odejść od „Dubois”, bo jest mocno pobarać przez czas. Budynki po niej ma przejąć Łódzka Politechnika i odpowiednio ją przystosować do własnych uczelnianych celów. Wice gdy taki wyrok zapadł, to wiele robić w tej starej wykończalni nie wolno, bo po co, jeśli rok 1970 ma być ostatnim rokiem jej życia? Z rozmów, które toczą się wśród ludzi, wynika, że wykończalnikiem chodzi o doświadczenie, jakiego nabyl przez te lata, wdźrańcia krajowego włókna sztucznego i o ambicję całej załogi, która chce nadal odpowiadać za wszystkie procesy produkcyjne, a nie tylko za produkcję przędzy i tkaniny surowa.

Formuluje się więc z wolna wyraźny postulat: czy nie lepiej już dziś przemysłuć budowę własnej, nowoczesnej wykończalni, tak — aby odejście staruszek mogło nastąpić jednocześnie z rozpoczęciem produkcji w nowo zbudowanym oddziale wykończalniczym? Tym bardziej, że przebudowę się o ewentualności przewożenia surowych tkanin nawet do Zdunskiej Woli. Zakłady im. Dubois stały się jednocześnie przykładem działania pewnych uczuć solidarności robotniczej: likwidacja wykończalni dotknie do żywego



Z teki LTF.

Fot. K. Janaszewski

600 robotników tego wydziału (na Gdańskiej 163), ale gdy o niej dowiedzieli się inni ludzie, z innych wydziałów — stała się sprawą honoru i ambicji całej 3-tysięcznej załogi.

Czy zjednoczenie traktuje po macoszemu załogę „Dubois”? Z szerokiego programu modernizacji, jaki zyskał poparcie w zjednoczeniu, takiego zarzutu nie można chyba mu postawić. Przecież w przyszłej pięcioletniej przedzalni i tkalni „Dubois” zmienia się nie do poznania. Kosztować to będzie około 500 mln zł, ale ludzie, którzy pamiętają tu jeszcze czasy międzynarodowego machera włókienniczego, Ejfigona, czy choćby okres w którym, przy wykorzystaniu biurka obecnie urzędującego nacz. dyr. Tadeusza Zięby nakreślano przed kilkunastu laty jakiś historyczny film, otrzymują na tych dwóch wydziałach warunki, o których Ejtin gonoł się nigdy nie śniło. Na opał pójdą stare, spróchniałe stropy przedzalni na PKWN, przedzalnicy i tkacze dostaną nowe maszyny, a sale — klimatyzację, z którą jak wiemy w całym kraju nie jest dobrze. Nowe krosna automatyczne zmniejszą wysiłek fizyczny tkaczy i w zasadniczy sposób pomogą im uzyskać niepotowane dotychczas u „Dubois” wydajności. Wiele zjednoczenie bynajmniej nie zapomniało o tej 3-tysięcznej załodze. Ale jej głos na temat wykończalni, która ma umrzeć śmiercią naturalną, jest głosem gospodarza dalekiego nie tylko o rzeczy wymierne, ale i o te niewymierne.

Tezy pobudziły do myślenia, więc do tego obrazu najbliższej przyszłości, jaki załoga ma już zjednoczenie i dyrekcja fabryki, do daje ona własne akcenty. Uzupełnia plany przebudowy i modernizacji, a ustami rady zakładowej czy komitetu zakładowego partii domaga się szybszej rozbudowy bazy socjalno-bytowej, ośrodka czasoswobodnych i ośrodka kolonijnego dla dzieci pracowników. Ale ludzie myślą nie tylko o tym, żeby pracować w jak najlepszych warunkach. Poważnym elementem dyskusji na wydziałach i w organizacjach partyjnych w fabryce jest interes gospodarki narodowej. Ponieważ co drugi metr tkaniny idzie stąd za granicę, wiele miejsca poświęca się przyszłości eksportu. Co zrobić, aby ta produkcja była jak najbardziej opłacalna? Zda niemi kierownictwa fabryki na całosci osiągnięć eksportowych nadal pokutuje nieczym jakaś zmora fakt istnienia kilku asortymentów tkanin nieopłacalnych. Precyzują się więc obecnie postulaty w kierunku przejścia na asortymenty bardziej ekonomiczne

dla zakładu i gospodarki. Wsuwa się też już dziś argumenty w stosunku do CeTeBe, żeby inaczej traktowała dostawy z „Dubois”, bo to w porównaniu z całą produkcją eksportową branży bawełnianej produkcja wyjątkowa, jako oparta wyłącznie o przerób włókien wiskozowych.

Trzeba stwierdzić, że załoga „Dubois” nie cofa się przed podejmowaniem zadań bardzo trudnych, potrafi przystosować się do zmieniających się sytuacji. Gdy w jednym kwartale zjednoczenie zdjęło jej z planu 600 tys. m jakiegoś asortymentu, szybko przeknęła tę pigułkę, przestawiając się na inny artykuł. Gdy później owe 600 tys. m przyszło z powrotem — również nie szemerała. Dlatego też oczekuje i od zjednoczenia pełnego zrozumienia dla swych interesów i swych postulatów. Teraz, na przykład, czeka jak na zbawienie na ostateczne wytyczne do planu na rok przyszły. Chciałaby szybciej wiedzieć, co piszczy wprawdzie. Chciałaby — gdyż to wiąże się z tym, co nazywamy poczuciem gospodarza. Jeśli po nadesłaniu przez zjednoczenie planów na rok przyszły będzie zbyt mało czasu na ich dokładne przebadanie i dyskusję z wszystkimi zainteresowanymi — to z tego poczucia gospodarza nie nie wyjdzie. Konferencja Samorządu Robotniczego bowiem ograniczy swą działalność do suchego zatwierdzenia planów i problem umacniania się wpływu samorządu robotniczego na dziś i jutro fabryki znów zostanie tylko problemem na papierze. Chodzi zaś o to, aby nareszcie zerwać z klasyczną już w przemyśle lekkim tradycją przysyłania ostatecznej wersji planów rocznych w momencie, gdy te plany wypadają właściwie już realizować.

Sprawy produkcji, szatni i umywalni, pokojów higienicznych dla kobiet, radosnych wakacji dla dzieci robotników. Tezy ujawniły też potrzebę przedyskutowania spraw z zakresu wsiel człowieka ze środowiskiem zawodowym, współżycia w fabryce. Na tym tle wynikała tu sprawa czysto ludzkiej satysfakcji z tego, że dobrze pracuje, nie wadzi nikomu, że może być przykładem dla innych. Specjalny zespół ludzi o ambiacjach z pogranicza socjologii i psychologii opracowuje obecnie regulamin zasłużonego pracownika.

Chodzi o to, aby bodźce działały w obie strony — jak karać, to żeby to było odczuwalne, jak nagradzać, to również tak — aby nagroda stanowiła odpowiednio zachęcający bodziec dla innych i wyraz społecznego uznania dla zainteresowanego. Więć

w tym regulaminie ustala się kryteria zasług, formy wyróżnień i uprawnień — wszystko po to, aby i pozytywni bohaterowie byli głosi w fabryce, aby wśród tematów dnia w czasie zmiany czy na oddziale produkcyjnym przez komentarzy na temat wyjątkowo opilstwa któregoś z pracowników, znalazły się również komentarze na temat wyjątkowo dobrej pracy prządki czy tkacza, na temat przykładowych osiągnięć któregoś wykończalnika. Ten regulamin zasłużonego pracownika oedzie niedługo obracowany i z pewnością stanie się jednym z najważniejszych dokumentów wzbogacających dobry klimat w zakładzie pracy.

Kilka dni przed naszą wizytą u „Dubois” powien brygadziści z tkalni zaapelował do wszystkich tkaczy w przemyśle bawełnianym o przedterminowe wykonanie zobowiązań przedzjadłowych. Była z tego powodu wielka uroczystość w fabryce, a autor apelu cieszył się zasłużoną sławą. Wspominaliśmy o tym w rozmowie z sekretarzem Komitetu Zakładowego PZPR, Edmundem Jurkiem, bo resował nas od pewnego czasu, teraz zaś — codziennie, ale jakże interesujące w działalności społecznej i politycznej.

— Sa ludzie w fabryce — mówił sekretarz — którzy nawet dobrze pracują, nikt do nich nie ma zastrzeżeń, ale jakoś stoją na uboczu, nie udziela się. Nie widać ich w pracy organizacji społecznych działających w fabryce, nie widać ich na zebraniach. Ten problem stania na uboczu interesował nas od pewnego czasu, teraz zaś — przed Zjazdem — chcemy się nim zająć szczegółowo. Powołaliśmy „trójki”, które będą rozmawiać z ludźmi. Zapytają o samopoczucie, zadowolenie z pracy, o stosunek do zagadnień ogólniejszych związanych z sytuacją fabryki, całego przemysłu czy nawet całego kraju. Pomocze nam to w dokładnym rozeznaniu się w klimacie wśród załogi i może i w rozszyfrowaniu dręczącego nas pytań — dlaczego w niektórych oddziałach upartyjnienie jest dużo niższe niż w oddziałach sąsiednich.

Sekretarz mówił o tych sprawach jak o ważnym bojowym zadaniu. Po prostu organizacja partyjna w fabryce chce wiedzieć jakie są przyczyny mniejszej aktywności niektórych pracowników. Chce wiedzieć, jaka się społeczna i polityczna stanowi nie tylko 629 członków PZPR, ale i pozostałe dwa i pół tysiąca ludzi bezpartyjnych. Również i w tych owych działaniach integracyjnych w środowisku ludzi pracy stanowią przecież celową inspirację.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Trzeba sięgnąć do mało popularnych, niskonakładowych i w dodatku warszawskich periodyków, żeby dowiedzieć się o naprawdę interesujących sprawach dziejących się na łódzkiej, kulturalnym gruncie. „Nowe Książki” mianowicie informują nas m. in. o trzech seriach wydawniczych, jakie planuje łódzka firma — Wydawnictwo Łódzkie. Warto z tej racji uderzyć w radosną sygnaturkę: otrzymamy zatem Serię Patriotyczną, w której — w oparciu o autentyczne dokumenty — popularyzować się będzie mało znane epizody z walki podziemnej społeczności łódzkiej w okresie okupacji. Druga seria tanich, niewielkich książeczek odsoni w sposób niezwykle sensacyjny dzieje różnorakich afer łódzkich magnatów prze mysłowych w okresie międzywojennym. Wreszcie seria trzecia — wydaje się najbar dziej literacko obiecująca — zaprezentuje współczesnych klasyków związanych z Łódźką.

WTOREK

Jeszcześmy dobrze nie wypoczęli, a już nam mówią o nowym roku i nowych teatralnych sezonach. Ale trudno — czas idzie naprzód. Na początku drugiej dekady sierpnia wznowił swoją działalność Teatr Wielki, a sezon będzie to niejako jubileuszowy, bo we wrześniu TV powita 500-tysięcznego widza. Było nie było, zawsze małeńki jubileusz, choć działalność teatru jest czasowo raczej mało jubileuszowa. Co nas jednak czeka w nowym sezonie? A zatem: „Romans gdański” wg Deotymy z muzyką Paciorkiewicza, „Cyrulik sewilski” Rossini, balet Prokofiewa „Romeo i Julia”, „Faust” Gounoda, i staropolski moralitet „Tragedia, czyli rzecz o Janie i Herodzie”.

ŚRODA

Piszę czasem w tym miejscu o wystawach plastycznych w Salonie Sztuki, w Ośrodku Propagandy Sztuki czy w Klubie Dziennikarza. Za każdym jednak razem ma-

rze sobie o napisaniu o zupełnie innych wystawach, o ekspozycjach nie w uświetnionych miejscach, ale... w witrażach handlowych. Oczywiście nie wymyślam prochu — ten sposób popularyzacji plastyki znany jest w Warszawie i Krakowie, nie jest to też nic nowego pod naszym łódzkim słońcem. Dawny już jednak zrezygnowano z tych nieoczekiwanych (a może właśnie codziennych?) ekspozycji. Dlaczego? Nie wiem. Może trudności były zbyt wielkie. Może handel nie chciał, a mo że nie chcieli plastycy? W każdym razie szkoda. Plastycy wychodząca dostownie na ulicę, wyglądająca z handlowych witraży — spełnia w sposób pełny wszelkie deklaracje o popularyzacji sztuki. Słyszałem, że niektórzy plastycy mówili coś o profanacji Sztuki, która egzystowała w towarzysztwie konserwowych ogórków i biustonoszy. Uważam, to za przesadę. Żad na droga i żaden sposób nie jest zły, jeśli trzeba dotrzeć z prawdziwą Sztuką do odbiorcy.

CZWARTEK

Dotychczas telewizja zarabiała na prasie wykorzystując (setki przykładów!) tematy, problemy i publikacje. Odegrałmy się! Od jakiegoś czasu my z kolei piszemy o telewizji — konkretnie o cudzie

techniki w Zygrach. Nadajnik pono „dociera się” — telewizor bierze cholera — albo obraz, albo wizja — razem jakoś w parze oba elementy telewizyjne — iść nie chcą. Na razie „nawalanka” odbywa się w ramach gwarancji — od połowy września gwarancja się skończy i zakłócenia („prosimy nie regulować odbiorników”) będą już w ramach normalnej działalności. Swoistego smaczku całej historii nadaje fakt, że konstruktorzy owej cudownej aparatury z Zyglar wyjechali właśnie na urlop i wszelkie uwagi (w ramach gwarancji) trafiają w przyszłowiową pustkę. Mają rację konstruktorzy — po co się denerwować.

PIĄTEK

Rzecz jest drobna, a na imię jej antologia. Właściwie każde znaczące miasto dorobiło się już w ciągu tych dwudzieci paru lat swoich poetyckich antologii. Nawet mały Toruń, nawet Szczecin — nie mówiąc już o Warszawie, która ma parę poetyckich książek o swojej chwale. Chwała łódzka niewielka — kudy jej tam do stolicy — ale zawsze pisali o tym miście i Tuwim, i Broniewski, i wśród żyjących współczesnych, znajdzie się sporo wierszy o kominogrodzie. O poetycką księgę Łódźki wolałem w tym miejscu równo pięć lat temu — jak

dotąd bez skutku. Nie wiem skąd się bierze ta niechęć do skompletowania i wydania antologii łódzkich wierszy. Jak dotąd napomknęła na ten temat nie starczyły — powiem więc personalnie, Drogi Tadeuszu Chróścielewski — prosimy Cię, jako poetyckiego szefa WL, o opracowanie takiej książki. To miasto jest tego warte i żmudna (wim to dobrze) praca na pewno się opłaci.

SOBOTA

A w sobotę do muzeum. Na przykład do Muzeum Sztuki na ciekawą lekcję kultury plastycznej. Od razu narzucają nam się skojarzenia — lekcja — wycieczki młodzieży szkolnej. I rzeczywiście podsumowanie tej szkolno-muzealnej akcji może napawać opty mizmem. W ramach wycieczek odwiedziło Muzeum w minionym roku szkolnym ok. 29 tys. uczniów. Nie jest to na pewno zbyt wiele, jeśli zdamy sobie sprawę, że mamy w Łodzi dobrze ponad 200 tys. uczniów w szkołach różnych typów, ale — powtarzam — są powody do optymizmu, bo wiem akcja lekcji kultury plastycznej; choć powoli — stale się rozkrecza i notujemy tu stały wzrost szkolnych grup wycieczkowych. Wszętko to bardzo cieszy, ale widać troskę Muzeum o wycho-

wanie, przez Sztukę, najmłodszą — nie sposób nie dostrzec, że zespołowe wycieczki, np. robotników, znajdują się od lat na ilościowym poziomie z roku 1951.

NIEDZIELA

Na placu pozostał tylko Teatr Ziemi Łódzkiej, który w wypożyczonej sali Teatru 7.15 z rozmachem prezentuje swój lepszy nieco repertuar z minionego sezonu. Mielśmy zatem okazję obejrzeć „Aszantkę” Perzyńskiego, „Okoliczności Jagodzące” Lanio, Tabino, i słynnego „Pana Punktę” B. Brechta. Ale tak prawdę mówiąc, to komu się teatr marzy w środku lata — z frekwencją są kłopoty nie tylko w kankule. Nie wydaje mi się więc, żeby wzięcony wieloletnia tradycją letni urlop teatralny był — jak to się często mówi — „złym zwyczajem”. Ludzie teatru też mają prawo do wypoczynku, a w tym specyficznym „zakładzie pracy” nie można dzielić urlopów, bo każde kółko w maszynierii teatru — od pierwszego amanta do ostatniego elektryka — ma swoją rolę i swoje znaczenie. Oczywiście to dobrze, że Teatr Ziemi Łódzkiej wypełnia urlopową lukę, ale też nie biadujemy co roku na teatralne urlopy, bo to i nudne i chyba niesłuszne.

JERZY WIDOK

Portret Marii

Dalszy ciąg ze str. 1

ka warstewka szronu. Mimo przeprowadzki na własne, kłótnie między rodzicami Marii, a dziadkami nie ustawały. Po którejś z kolej zapadła decyzja — wyjeżdżamy na zachód. Maria miała wtedy 9 lat.

Decyzja okazała się jednak życiowym niewypałem. Marna, nieurodzajna ziemia, którą tam uprawiali, nie mogła utrzymać już wtedy dużej rodziny, a jej głowa nie zdradzała ani talentów rolniczych, ani nawet minimum zainteresowania gospodarstwem. W dziadkach obudziło się sumienie i w coraz częstszych listach do „wyrzancek” zaczęli namawiać do powrotu. Wrócili więc znów do Raciborowic, do tego samego domu, w którym gnieździł się kiedys.

Luty 1959 roku, a ściślej wieczór ostatniego, karnawałowego dnia przyniósł tragiczne wydarzenie. Kryty stromy dach zapadł się od iskry z uszkodzonej instalacji elektrycznej. Kiedy przyjechała straż, nie było już co gasić. Matka i przerażone dzieciaki zdołały uratować tylko pierzyny; w przylegającej do mieszkania obórce spaliły się zwierzęta. Odszkodowanie w części pokryło poniesione straty, ojciec wspólnie z dwoma większymi murarzami-amatorami zaczął stawiać nowy dom, a tymczasem pogorzeli zamieszkali u dziadków. Zanim był gotów, musieli się do niego wprowadzić, bo znów zaczęły się rodzinne spory. Matka była wtedy w ciąży, była zima, dom nie miał dachu, a na podłodze zamiast łóżek leżały rozrzucone snopki słomy.

Pora zająć się ojcem Marii. Przed pożarem pracował jakiś czas w łódzkiej straży miejskiej. Tam skomponił się z kolegami i wspólnie topili smutki w alkoholu. Ale że nigdy nie lubił się przepracowywać, a dojazdy do Łodzi zajmowały mu sporo czasu, zwolnił się i topienie smutku kontynuował w rodzinnej wiosce. Chorą żoną się nie interesował, a dzieci traktował, jak przysłowio- wemu dopust boży. Wzmianka o ojcu nie jest przypadkowa. Reprezentuje on wszystkie wady typowego ojca z tak zwanego trudnego dzieciństwa i w ten sposób wypełnia następny punkt schematu biografii banalnej.

2.

Mówi Maria:

— Chciałam koniecznie uczyć się dalej, bo tylko szkoła dawała mi jedyną możliwość jakiegoś startu życiowego. Miałam już wtedy czworo rodzeństwa, matka spodziewała się piątego dziecka, a ojciec twardo powiedział — chcesz mieć buty, idź do pracy, bo ja ci do nauki grosza nie dolożę! Wybrałam sobie klasę z działu MHD w Za sadniczej Szkole Handlowej w Piotrkowie, nie dlatego, że takie akurat miałam powo- łanie, ale, że był to dział, gdzie za praktyki płacono. Egzamin zdałam dobrze i cie szylam się, że od września zacznę naukę. W sierpniu przysłał mi zawiadomienie — moja klasa została rozwiązana. Prosiłam, żeby przemieśli mnie do technikum ekono- micznego, opowiedziałam o sytuacji w domu, nic z tego nie wyszło. Przyjęcia były skończone.

— Przyjechałam wtedy do Łodzi. Udało mi się znaleźć miejsce w szkole dziewiar- skiej. Mieszkałam u ciotki, bo jej mąż był akurat w wojsku, ale gdy wrócił w paź- dzierniku, musiałam rozejrzeć się za nowym mieszkaniem. Pojechałam do domu po

pieniądze i to był koniec mojej szkolnej kariery. Ojciec zrobił mi wtedy awanturę i już chciałam napisać list do „Przyjaciółki”, żeby mi pomogli dostać się do domu dzie- ka, ale ojciec urządził wtedy następną awanturę.

— Nie potrzeba, żeby moje dzieci jadły państwowy chleb — krzychał.

— Nie było wyjścia, musiałam iść do pracy. Wujek pracował w ogrodnictwie PKP w Babach i wystarał mi się tam o robotę. Miałam wtedy 15 lat. Wyrzywałam chwasty, a jak było trzeba, pomagałam przy wyładowywaniu węgla z wagonów. W pierwszym miesiącu brałam do pracy suchy chleb, potem dostawałam pierwszą pensję, prawie tysiąc złotych i czułam się szczęśliwa. Była to jednak robota sezonowa i jak przyszła zima zaczęli ludzi zwalniać. Ja zostałam, bo wzięli pod uwagę moją sytuację w domu.

— Zimą jeździliśmy do Andrzejowa, a stamtąd szło się pieszo cztery kilometry do Olechowa. Tam kuliśmy lód w kanałach, którymi elektrowozy spuszczały wodę, od- ruczaliśmy z torów śnieg, ale najgorszy był wyładunek węgla. Któregoś dnia przy pracy rozbiła mnie brzuch. Odwieźli mnie do szpitala, tam powiedzieli, że to atak wyrostka i trzeba operować. A potem lekarz kazał dać mi lepszą pracę i w oddziale ko- lejowym w Łodzi zobaczyli, że jestem nie- letnia i nie powinnam wykonywać cięż- szych robót. I zwolnili mnie. Gmina dała mi wtedy zaświadczenie o tym, — jak mam w domu. Pozwolili zostać i nawet dostawałam lepszą robotę. Pracowałam więc w Babach drugi rok, ale następnej zimy dostawałam zwolnienie i żadnego odwołania już nie było.

— Ojciec znów zaczął mi wymawiać chleb, więc musiałam wynajmować się do pracy u gospodarzy. Płacili mi niewiele, bo byłam młoda, a sama o grosz nie umiałam się upomnieć.

W 1962 roku Maria zapisuje się do ZMW. Jest energiczna, aktywna, koleżeńka i szybko zdobywa sobie zaufanie kolegów. Po dwu latach zostaje przewodniczącą koła we własnej wsi.

W 1964 roku spotykamy Marię w War- szawie, wśród gości zaproszonych na dożyn- ki. To nagroda za jej pracę społeczną w Raciborowicach. Jaka to praca? Maria była przewodniczącą koła, gdy raciborowicka młodzież, żarzona powszechną akcją zak- dania klubo-kawiarni, stwierdziła, że nie ma gdzie zejść się wieczorem. Lokal upa- trzyli sobie w dawnej mleczarni i żeby go dostać, zaczęli społecznie pracować przy budowie sklepu i dróg. Wygrali walkę z konkurentem, miejscowym kołem gospo- dynim, młodzież i jej przewodnicząca ot- worzyła w Raciborowicach Klub Rolnika.

Dalsze ślady Marii — lista uczestników korespondencyjnego kursu księgowości i rachunkowości w Łodzi. Pracowała na wsi i uczyła się, placąc za kurs ze swoich włas- nych, zarobionych pieniędzy. Po półtora roku, kiedy ukończyła zasady księgowania, księgowości amerykańskiej i część rachunko- wości, poprosiła o potwierdzające ten fakt zaświadczenie i zaczęła szukać pracy.

W pośrednictwie pracy w Piotrkowie, gdy stanęła przed urzędniczką i zapytała o wol- ne miejsca, usłyszała, że pierwszeństwo mają ludzie z miasta. A Maria jest samotna i mieszka na wsi, gdzie jest niecierń i ziemia i robota. Kurs okazał się nieprzy- datny i trzeba było szukać innych możli- wości zdobycia pracy.

W redakcyjnej poczcie „Przyjaciółki” zna- lazł się jednak list od Marii. Wzorem wielu czytelniczek postanowiła szukać pomocy u ludzi kryjących się za stronicami tygodni- ka. Była to zresztą realizacja dużego wcześ- niejszego pomysłu. Do piotrkowskiego pre- zydium rady przyszło pismo z redakcji, w którym prosono o zatrudnienie Marii w mieście. Jednocześnie Komitet Powiatowy ZMS w Piotrkowie rozpoczął takie same starania. W ten sposób Maria zaczęła pra- cować w Hucie. Był 1965 rok.



3.

Najnowszy etap życia Marii znów dostar- cza ilustracji do schematu biografii zwy- czajnej.

Awans społeczny? Maria nie od razu za- częła pracować jako zatapiaczka, przez pierwsze dwa lata pracy w hucie odsta- wiała gorące szkło do odciekania.

Mówi przelotnie: — Maria jeszcze nigdy nie spóźniła się na swoją zmianę, mimo że jej droga do pracy wynosiła przeszło dwa- dzieścia kilometrów. Interesuje się nie tyl- ko tym, co robi sama, ale zna doskonale pozostałe cykle produkcji. Jest zycielna dla ludzi, umiała zdobyć sobie sympatię hut- ników, od których odbiera rozżarzone szklan- ki.

Tu trzeba przerwać, bo doszliśmy do wspomnianego awansu. Maria została zata- piaczka. Jest to oczywiście w dalszym ciągu stanowisko fizyczne, ale obsługiwane maszyny wymaga już pewnych kwalifika- cji.

Mała stabilizacja? Maria zarabia w tej chwili 1.300 złotych, za które utrzymuje siebie i pomaga w domu. To teraźniejszość. Plany na przyszłość — zaočna nauka w technikum chemiczno-ceramicznym. Ukoń- czenie tej szkoły z pewnością pomoże jej w dalszej pracy. Dziewczyzna ma zamiar zapisać się do spółdzielni mieszkaniowej w Piotrkowie, bo pora pomyśleć o własnym domu. A Piotrków bardzo jej się podoba i

wszystko wskazuje na to, że znalazła tu swoje miejsce.

Po rozpoczęciu pracy w hucie zapisała się do ZMS. Początkowo próbowała godzić zajęcia w obu organizacjach, gdy nie udało się, zrezygnowała z ZMW. Na marginesie, fakt ten może posłużyć jako punkt wyjścia do dyskusji nad rolą ZMW w życiu młodzieży wiejskiej.

Maria w niedzielne popołudnia zaczęła uczęszczać do Wieczorowej Szkoły Aktywu. Nowa organizacja oceniła wzorową postawę i wytypowała ją, jako przedstawicielkę naszego województwa na Festiwal Młodzieży do Sofii.

W tym miejscu należy przerwać opowieść o Marii i wrócić do olbrzymiej hali w piotr- kowskiej hucie, gdzie między innymi wy- rabia się szklanki. W rozedrganym od żaru powietrzu poruszają się postacie pracują- cych ludzi. Wielu z nich jest rówieśnikami Marii i z pewnością niejedną przeszedł równie trudną, może nawet trudniejszą drogę, niż nasza bohaterka. Schemat życia będzie taki sam, mogą być najwyższe różni- ce w wypelniającej go treści. Czyżbyśmy znaleźli więc biografię typową? Tylko dla kogo? Dla młodych Polaków, robotników z huty, którzy przyszli tutaj ze wsi, czy u- partej dziewczyny?

BOGDA MADEJ

JAN BABIŃSKI

HERR DOKTOR

Książka nosi tytuł — „DIE HEI- MAT VERTRIEBENEN” — „Wypę- dzeni z ojczyzny”.

Wyszła niedawno w Glenwood w stanie Iowa w Stanach Zjednoczo- nych i wznowiono ją właśnie w NRF. Wydał ją Karol Müller z Roth pod Norymbergą. W Niemczech zachod- nych rozpowszechnia się tyle dzieł o rzekomej tragedii folksojczyków na Wschodzie, że można by właściwie nad tą książką przejść do porządku dziennego, gdyby nie jej autor. — „Wypędzeni z ojczyzny” — to pa- miętnik, który wyszedł spod pióra człowieka dość, jak się wydaje, w przedwojennej Łodzi znanego. Jest nim doktor Eduard Ziegler, który zajmował kierownicze stanowisko w szpitalu chorób dziecięcych przy ul. Rokicińskiej.

Doktor Ziegler przyszedł na świat jeszcze przed pierwszą wojną świa- tową w Dąbiu nad Nerem. Wspomina czasy dzieciństwa z łezką w oku. Rozwodzi się nad pieknem krajo- obrazu polskiej niziny, opisuje bujne tany pszenicy, szumiące na wie- trze bory, nawet wierzy wspomina, które według niego mają tyle smę- nego uroku, że sam ich widok chwyt- a za serce. Piękno starych i za- możnych wiosek nad Nerem było tak wielkie, okoliczne lasy tak bo- gate w zwierzyne, że w czasie dru- giej wojny światowej przyjeździł na polowanie do Dąbia nawet reichs- deutsche z miasta Łodzi — jak to określa szanowny Herr Doktor. A przedtem polowali tam na kaczki niemieccy osadnicy, którzy te strony bardzo, ale to bardzo sobie chwa- lili. Było dobrze. Było nawet wspani- ale. Było tak wspaniale, że dok- tor Ziegler tych czasów nigdy już nie zapomni. Opisuje Dąbie z takim sentymentem, że można by go wzięć za polskiego patriotę, któremu nigdy nic nie było tak bliskie jak ojczy- sta ziemia polska i którego zżera teraz po nocach nostalgia za utra- conym krajem, a raczej... rajem. Polska była dla niego rajem. Temu nie zaprzecza. No cóż, Ziegler spe- dził pod Łodzią wiosnę swego ży- cia, która była jednym, cudownym snem. A po ukończeniu studiów udało mu się zdobyć godną zarad- łać posadę w łódzkiej szpitalu. Był

w pełni zabezpieczony materialnie. Zarabiał krocie jak na owe czasy. Był tak napchany forszą, że pobu- dowal w Łodzi własny dom. W swym pamiętniku doktor Ziegler zamiesz- cza zdjęcie tego domu. Budynek jest nowoczesny, okazały, dwupię- trowy, robi doskonałe wrażenie. A pod tym zdjęciem taki oto napis: „Przykład niemieckiej kultury miesz- kaniowej. Dom Zieglera przy Erhard- Patzer Strasse 78 w Łodzi...”. Nie znam w Łodzi takiej ulicy. Ale dok- tor Ziegler widocznie znał i pamię- ta. Dla niego Łódź pozostała Litz- mannstadt...

Jako jeden z pierwszych podpisał folklistę.

Tak wspomina ten początkowy okres hitlerowskich rządów:

— „Zaraz po zajęciu Polski przez niemiecką armię zaszły w mieście duże zmiany. Łódź została wcielona do III Rzeszy. Miasto, taki był roz- kaz, miało być w krótkim czasie przekształcone w czysto niemieckie centrum przemysłowe. Dawne nazwy ulic szybko pozniwały. Ze wszyst- kich sklepów usunięto też polskie i żydowskie napisy. Główne ulice mia- sta nazywały się teraz... Adolf Hit- ler, Herman Goering, Schlageter, Horst Wessel Strasse... Wszędzie też powtarzano biersztuby, w których można się było napić oryginalnego piwa z Monachium. W ogóle nie- mieckie sklepy i zakłady wyrastały jak te grzyby po deszczu. Wielki i

reprezentacyjny sklep Chmielewskie- go przy Piotrkowskiej, w którym ku- powało się kiedyś nowoczesną broń myśliwską, objął Herr Oskar Müller. Odtąd słyszało się w tym sklepie tylko przyjemny, prawdziwie szwab- ski akcent Frau Müller ze Stuttgartu. Słynie kawiarnie Piatkowskiego, w których ongiś o 4 po południu zbierała się łódzka elita, objął Alex Schwarzhuber. Dostarczał tak wspani- ale ciasta i torty, że w samym Stuttgartie trudno było o lepsze...”

Doktor Ziegler tak ciągnie nitkę swych wzruszających wspomnień:

„Co tylko się dało, zostało w Ło- dzi zmienione, przestawione i prze- malowane. Wszędzie, zupełnie jak w Prusach, Bawarii, czy Rheinlandzie roito się od niemieckich nazwisk. Malarze nigdy jeszcze nie mieli tyle roboty. Do Łodzi przybywało wtedy mnóstwo folksojczyków z innych te- renów, głównie ze Wschodu, także reichsdeutsche. Telefon w moim gabinecie dzwonił bez przerwy. Do swych chorych dzieci wzywałam mnie przede wszystkim reichsdeutsche. Pojawili się też treuhendery. Nie mogli wyjść z podziwu, że w łódz- kich magazynach tyle czystych we- len i jedwabi i ani śladu ersatzów. Tkaniny były najwyższej klasy. O istnieniu takich tkanin dawno już w Reichu zapomniano. Reichsdeut- sche zaczęły wysyłać do swych roz- dzin tyle paczek z różnymi arty- kulami, że pracownicy poczty nie

mogli się uporać z bieżącą robotą i wkrótce trzeba było w Łodzi otwo- rzyć kilka pocztowych filii. Reichs- deutsche na wszystkim kładli swą łapę. Niestety, nasi łódzcy folkso- dojczy też ulegli żądzy posiadania. Niekiedy przejęli w posiadanie ży- dowskie fabryki, polskie sklepy i do- my wielomilionowej wartości. Jakis miejscowy folksojcz, jak właśnie słysze, przejął wspaniałą kamienicę przy Kościuszki 91, która należała do pani Heyman...”

I tak oto doktor Ziegler ciągnie swoje wspomnienia o dniach zwycię- stw niemieckiego oręża, kiedy do Łodzi wkroczyli hitlerowcy i rozpo- częli rządy oparte na mordzie i ter- rorze. Ziegler nie może o tych mor- dach nie wspomnieć. Czyny te jakby na marginesie, w wielkim skrócie, jakby przypadkowo. Zawsze jednak poświęcił kilka akapitów opisowi Chełma nad Nerem. Zresztą Cheł- mno było oddalone od Dąbia, więc od rodzinnych stron doktora, zole- dwie o parę kilometrów. Doktor Zie- gler przynajmniej, że hitlerowskie wła- dze wybrały Chełma na miejsce masowych straceń. Jest mu z tego względu bardzo przykro. Między wierszami daje do zrozumienia, że to był fatalny błąd. Trzeba jednak przyznać, że Ziegler nie kręci, nie kółuje, nie udaje wariata jak tylu innych folksojczyków, którzy przysię- gali w żywe oczy, że o istnieniu masowych grobów w Chełmie nigdy

PETROPOLIS

Dalszy ciąg ze str. 1

że, tysiące skomplikowanych, zawitych rur kłębiących się po ziemi i wijących w górę, blask stali, ognia, zapach nafty, sarkii i wielka ogromniejąca cisza. Kombinat pracuje w milczeniu, nie widać ludzi, pustynia. Jakiś księżycowy krajobraz. Samograj dla dziennikarzy o literackim usposobieniu. Całość w ogóle fotogeniczna. Już niejedna ekipa filmowa i telewizyjna nakręciła tu setki metrów taśmy. To małe uwalnia od opisów.

A jednak wbrew pozorom i braku warunków motorów kombinat żyje, pracuje dzień i noc bez przerwy. Zatrudnia około 5 tysięcy ludzi w produkcji. 7 tysięcy ludzi pracuje nadal przy jego rozbudowie. Chemia przeżywa burzliwy rozwój na świecie. Płock jest jednym z większych punktów tego rozwoju. Miasto leżało sobie tydzień lat nad narowistą Wisłą, żyło spokojnie, nawijało wieki na swą historyczną biografii, przeżywało okresy wzniosłe i tragiczne, słowem **robiło** sobie historię, aż tu nieoczekiwanie spada nań siewrowana odgrębiona decyzja. Budowa kombinatu petrochemicznego i rafineryjnego. Miejscowi działacze zabiegali właśnie w stolicy o rozbudowę fabryki maszyn zniwanych a otrzymali wielomiliardową inwestycję. Przyjeźli to jak objawienie. Na wieść o tej decyzji polityczne i gospodarcze koła Płocka urządziły wielki bankiet. Struchleli tylko chłopcy w pobliskiej wiosce Nowa Biała. Z niechęcią brali odszkodowanie za ziemię. Rejent miał tyle roboty, że musiał zaangażować pomocnika. I tak się zaczęło mowę.

Budożery zmioty z powierzchni ziemi stare chałupy i stare układy społeczne. Utało się przekonanie, że lokalizacja każdej nowej inwestycji budzi natychmiast entuzjazm i radość tubylców, bo to i forsą manna spływa na miasto i w ogóle awans czyli kariera. Proces jest chyba bardziej złożony choć to jest wszystko prawda, nawet z tym bankietem.

Wśród wielu mniej oświeconych mieszkańców Płocka nadzieje mieszały się z trwogą. Pojawilo się mnóstwo nieznanych ludzi, inżynierów, specjalistów, techników, pracowników budowlanych. Do dnia dzisiejszego tutejsi mieszkańcy nazywają ich między sobą przywłokami. Przywłoki przywłokami z sobą drażniąca pewność siebie, nowe wymagania, nowy tryb życia, nowe wymagania, nowy tryb życia. Żony inżynierów chodziły do sklepów i z daleka wołały: „Proszę dla mnie kilo cieleciny, bo ja z Petrobudowy”. Czy to nie może denerwować? Taka agresja nowoczesności w zaśnieździła tradycję miasta. Z jednej strony miasto, które liczy sobie tysiąc lat historii i ma za sobą bogate tradycje humanistyczno-gimnazjalno-profesorskie, z drugiej zaś najnowocześniejszy przemysł, który zaczyna wrastać w tę zaśnieździła formę. Następuje zderzenie ludzi, zderzenie sposobu myślenia i sposobu produkcji.

Ożył senny Płock. W ciągu pierwszych trzech lat zameldowało się w mieście siedemnaście i pół tysiąca osób. Wzrosła cena mieszkań, domów i parcel. Wszyscy naraz mieli pełne ręce roboty. Robotnicy i inżynierowie, milicja i sąd, kelnerzy i ekspedientki a nawet urzędnik Stanu Cywilnego. Miasto przeżywało drugą socjalistyczną rewolucję. Nie było takiej dziedziiny życia, która nie zostaby dotknięta przemianami. Dotąd wszystko było dobrze, a tu naraz okazało się, że za małe sklepy, za wąskie ulice, za ciemne restauracje, za małe szkoły. W szkołach trzeba było wprowadzić trzecią zmianę. Modernizowano w pośpiechu handel, usługi i komunikację.

Obok robotników budowlanych, których ścianało z całej Polski i dowożono z okolic zaczęli zjeżdżać wytrawni specjaliści, świadomi swej niezbędności. Czym dziś można skusić dobrego fachowca do zmiany pracy? Ponorami? Nie. Mieszkaniami. Aby

było szybciej, częściej gotowych mieszkańców z puli Rady Narodowej odstąpiono przybyzszom. Nie trzeba dodawać, że krew zalewała miejscowych. Władze miejskie jako pierwsze w Polsce wywalczyły sobie prawo, że bez ich zgody kombinat nie może zaangażować do pracy żadnego specjalisty z zewnątrz.

Oczywiście w niedługim czasie zaczęto budować domy za pieniądze Petrochemii. Miasto pokryło się nowymi blokami. Petrochemia — jest pierwszym przedsiębiorstwem, które zrezygnowało z osiedla awaryjnego. Ludzie, którzy razem pracują mają się siebie na tyle dość, że już nie chcą się ze sobą spotykać na wspólnej klatce schodowej. Pierwszą najbardziej widoczną inwestycją w Płocku był 10-piętrowy hotel „Petropol”. Postawiła go Petrobudowa i gratis podarowała „Orbisowi”.

— „My się znamy na nauce, wy na przyjmowaniu gości — powiedział naczelny dyrektor kombinatu do naczelnego dyrektora „Orbisu” i wręczył mu klucze. A gości spodziewamy się wielu — dodał. Nawet z zagranicy. Bądźcie dla nich uprzejmi”.

Widocznie „Orbis” głęboko wziął sobie te słowa do serca, bo takiej uprzejmoci nie spotkałem dotąd nigdzie. Widy w tym hotelu zawsze czyste, ciche, ciche, pokoje czyste jak lza, kelnerzy w restauracji hotelowej wieczorem w smokach, podczas ania w śnieżnobiałych mundurach jak admirałowie w pełni admiracji. Czynają tylko na swój gest. Czowiek się boi poruszyć, boi się mrugnąć, bo już dwóch zaraz przy tobie. Początkowo miejscowi omiatali hotel z lękiem i obawą. Już przywykli. Nawet na dąsinki przychodzą. Przed hotelem zawsze mnóstwo samochodów z zagranicznymi znakami. Słowem nie Płock a Europa.

Z miejscowych zakładów pracy setki mężczyzn przeszło do kombinatu. Ich miejsce zajęły kobiety. Ponad 3 tysiące kobiet poszło do pracy. Stare zakłady, które dawniej się przed nimi bronily otwierały teraz szeroko swoje bramy.

Oprócz fachowców różnych branż zaczęli przyjeżdżać również do Płocka młodzi absolwenci różnych politechnik. Przyjeżdżał między innymi Rajmund Troch, absolwent Politechniki Gdańskiej. Dziś po siedmiu latach pracy jest kierownikiem oddziału produkcji sarkii. Jednym z najlepszych kierowników. Młody, energiczny, pogodny, znany z troskliwości o swoich pracowników. Przed jego oddziałem strzela w górę fontanna, kołbie w gotelniku. Z siarką nie ma żartów. Golebie więc to nie hobby, lecz życiowa konieczność. Najbardziej wrażliwe płaki na dwusiarce. Otrzymują pszenicę z puli bhp. Swoją śmiercią mają ostrzec ludzi przed niebezpieczeństwem. Wewnątrz budynku kanarek w klatce. Podobno jeszcze bardziej wrażliwy na gaz. Jeśli już o ptakach mowa, to jeszcze do niedawna pojawiali się co roku wiosną nad kombinatem dwa bociany. Długo zwykle krążyły wśród rur i wież destylacyjnych, poszukując starego gniazda umieszczonego ogi na szczyście strzechy. Dziś już nie przylatują.

W królestwie inżyniera Rajmunda Trocha czysto jak w szpitalu. Porównanie o tyle prawdziwe, że nawet aparaty tlenowe tu stoja. Na wszelki wypadek.

— Aha, dziennikarzu, proszę, niech pan wejdzie, mam właśnie sprawę, z którą od dwóch lat nie możemy sobie poradzić — wola inżynier Troch. Młody gniewny i gościnny.

— Przez te cholerna biurokrację nie mogę uruchomić produkcji siarkii, która na rynkach światowych jest droższa od tej, którą teraz wytwarzamy. My mamy patent i nie możemy się doprosić w Zjednoczeniu o te głupie 9 mln zł na uruchomienie produk-

cji nowego gatunku. Jakiś biurokrata powiedział nam w Zjednoczeniu, w Krakowie, że jak znajdziemy sami nabywcę, to pieniądze się znajdą. Ja jestem przecie inżynier, a nie komiwojażer.

— Młodych inżynierów z taką pasją jest w naszym kombinacie wielu — mówił mi potem mój przewodnik po kombinacie. A siarkii, którą chce produkować jest faktycznie poszukiwana. Nadaje się ona do produkcji gumy. Ale kogo to obchodzi w naszym Pentagonie. Małe wyjaśnienie. Pentagon to biurowiec dyrekcji kombinatu, zwany również popularnie przez wszystkich Domem Parkinsona. Skąd i dlaczego Pentagon? — zapytałeś swego cicerone. — Od pięta się i gonie — pada odpowiedź. Więc to chyba Pentagon.

Wśród inżynierów Petrochemii panuje atmosfera wysokiego napięcia. Przejawem dość duża fluktuacja kadry inżynierskiej. Po odpowiedzi udam się do zakładowego socjologa. Skrupulatnie zanotowałem jego wywody, gdyż wydały mi się interesujące.

— Cecha charakterystyczna tutejszej załogi — powiedział socjolog — jest występowanie pracownika nie jako bezpośredniego uczestnika procesów produkcyjnych, lecz takiego uczestnika procesu pracy, którego główne zadanie polega na kontrolowaniu przebiegu pracy systemu maszyn automatycznych. Na stanowiskach robotników znajdują się tutaj w większości technicy, na stanowiskach mistrzów — inżynierowie. Tymczasem w tradycji naszego przemysłu leżało, że inżynier był co najmniej kierownikiem, a teraz technika go degraduje. Zresztą technika degraduje nie tylko inżynierów, lecz wszystkich pracowników o dużych kwalifikacjach w wysoko automatyzowanych zakładach. Rodzi to konflikty wewnętrzne, rodzi kompleksy. W Petrochemii rozwiązuje się codziennie szereg technicznych procesów. Teraz przyszła kolej na rozwiązywanie procesów psychologicznych i społecznych. Nowoczesne urza-

dzenia wymagają nowoczesnych metod kierowania ludźmi.

Okazuje się, że w wielkim kombinacie, gdzie pracują setki inżynierów i tysiące techników łatwo dochodzą do głosu tendencje technokratyczne. Technokratyczne kryteria oceny ludzi nie uwzględniają kwalifikacji moralnych jednostki. Nie uwzględniają również aspiracji człowieka. Taki system powoduje niezadowolone i rodzi napięcia w stosunkach międzyludzkich.

Ale nie tylko wewnątrz kombinatu dzieją się rzeczy godne uwagi, które warto zasignalizować. Automatyka rzeczywiście w pewnym stopniu degraduje kwalifikacje i ambicje ludzkie, lecz jeśli chodzi o Płock, awansuj, z kolei gospodarzo i społecznie cały region. Kiedy byłem przed dwoma laty w tym mieście wstąpiłem przypadkiem do klubu „Pod lampą”. Odbiwał się wiecej gawęd o Wiśle. Starzy piaskarze, szyprowie, flisacy, gawędziarze z pobliskich wsi Radziwia i Dobrzykowa snuli swe opowieści o rzecze. O strachach, czartach, strzygach, czarownicach, o duchach unoszących się nad wodami Wisły. W ich wspomnieniach odżyły dawne czasy, kiedy to jedyną lekturą tutejszych ludzi był „Sennik egipski” i „Żywot świętej Genowefy”.

Zapamiętałem z tego wieczoru jedną z opowieści o figurze świętego Bonawentury. Figura ta stała od lat nad Wisłą w Dobrzykowie, niedaleko Płocka. Flisacy rozpoznawali po niej nurt rzeki i poziom wody. Jak święty Bonawentura był zaurzany po kolana w wodzie można było płynąć bezpiecznie, jak po kostki — należało uważać. I oto po wielu latach wiernej służby rada parafialna w Dobrzykowie, postanowiła świętego sprzedać „Desie”. Za pieniądze uzyskane z tej sprzedaży postawiono w miejscie świętego znak orientacyjny. Czy to ma coś wspólnego z Petrochemią i Petrobudową? Tylko tyle, że większość mieszkańców Dobrzykowa pracuje obecnie w kombinacie.

KAROL BADZIAK



nie słyszeli. Ziegler stwierdza z całą szczerością, że był o wszystkim doskonale poinformowany od pierwszego dnia.

Tak o tym wspomina: „Wyprowadzenie Żydów z Dąbia do pobliskiego Chelмна na miejsce straceń było czymś tragicznym. W nocy słychać było w lasach okalających Chelmną krzyki kobiet, rozdzierający płacz dzieci i przekleństwa straży. Społeczeństwo Dąbia obserwowało te sceny ze łzami w oczach. Ale prawdziwe piekło zapanaowało w samym Chelmnie. Słychać się straszliwe wycie, ludzkie wycie, które rozchodziło się nocą po wszystkich wioskach w promieniu kilku kilometrów. Z lasu, gdzie ciała pomordowanych palono, dobywał się gęsty, duszny, trudny do zniesienia dym i odór. Nikt w pierwszej chwili nie mógł tego pojąć. Miejscowej ludności po prostu nie mieściło się w głowie, że ludzie można zagazować, a potem spalić na popiół. Okoliczni rolnicy opowiedzieli mi o wszystkim. Kiedyś odwiedziłem Chelmną. Dawny pałac był wtedy już zniszczony i zrujnowany. Wszędzie panowała śmiertelna cisza. Wydawała mi się jednak, że słyszę krzyk ofiar, które tu znalazły śmierć. Tutaj spalono przecie wszystkich bez wyjątku Żydów z Dąbia. Znałem ich. Glücksman, Warzecha, Rosenblum, Rabbiner, Joske,

wszyscy oni byli moimi przyjaciółmi, bawilem się z nimi wspólnie w dniach mego dzieciństwa. Teraz już nie żyli...”

Doktor Ziegler oburza się. Nie może zrozumieć jak do tego doszło. Udoje, że nic o tym nie wie, że w polowaniu na Żydów bardzo aktywnie uczestniczyli ci wszyscy folksdojczcy, którzy mieszkali od dwóch pokoleń w gromadach potoczonych po obu brzegach Neru. Ziegler ma pretensje do reichsdeutschów. Ich obarcza winą. Ma też pretensje do partyjnych bonzów i tajnej policji państwowej, więc do gestapo. On sam jest niewinny, bo w mordach żadnego udziału nie brał i zajmował się przez całą wojnę tylko swoimi prywatnymi sprawami. Reichsdeutsche wyraźnie go denerwowali. Zaszli mu za skórę. Nie dlatego, że przybywali z Berlina, Hannoveru, Stuttgartu i innych miast Reichu, skądże, ale z tego względu, że nazajutrz po przybyciu zajmowali w Łodzi co bardziej tłuste i intratne posady, spychając miejscowych Niemców coraz wyraźniej na dalszy plan. Nie może darować tym przybyzszom, że spoglądali na folksdojczów z góry, z ironią i lekceważeniem. A już do szaleństwa doprowadzali go przybyli z Reichu lekarze, którzy zachowywali się arogancko, jakby zjedli wszystkie rozumy i posiadali wszystkie tajemnice sztuki medycznej. Już zupełnie nie

krzyje swej nienawiści do młodej lekarki, Frau O., która zjawila się w Łodzi z Berlina i była żoną jakiegoś wybitnego SS-mana, bliskiego współpracownika Himmlera. Dlaczego? Co się za tym kryło? Czyżby względy polityczne? Skądże znaw. Ziegler zniecierliwiał młodą lekarkę i wszystkich reichsdeutschów dlatego, że go wygryzili z posady w szpitalu Anny Marii. No cóż, wśród nazistów panowały swoiste stosunki. Katerie i wzajemnie popierające się kliki decydowały o wszystkim. Więc doktor Ziegler bardzo się nad swym losem uzało. Padł ofiarą spisku. Nie mógł reichsdeutschom przebaczyć, że choć podpisał szybko folkslistę i zachowywał się zawsze jako lojalny obywatel Wielkiej Rzeczy, to jednak potraktowano go per-noga, a nawet w odpowiednim momencie wymierzono mu dobre go kopniaka.

Cały pamiętnik Zieglera pisany jest według pewnej metody. Bardzo rzadko wspomina o sytuacji Polaków w podbitym mieście, jeśli wspomina, to jakby mimochodem, w kilku zaledwie zdaniach. Pisze więc, że polskie dzieci w szpitalu Anny Marii otrzymywały znacznie mniejsze przydziały żywności niż dzieci folksdojczów i że umieszczono je na III oddziale, całkowicie pozbawionym dziennego światła. Ziegler wtrąca też, że podczas 20-stop-

niewego mrozu wyrzucono na ulicę rodziny polskich urzędników z osiedla na Zdrowiu. Ziegler udoje niewiniątko. Przyznaje, że Polaków rzeczywiście traktowano nie fair, że nie wszędzie wpuszczano, że nie mogli się uczyć, że nie mieli nawet prawa korzystać z pewnych tramwajów i musieli nisko się kłaniać każdemu niemieckiemu policjantowi. Tak, to prawda, Polaków traktowano jak ludzi drugiej kategorii — doktor Ziegler nie jest z tego zadowolony, ale zaraz dodaje, że Łódź była miastem szczególnie, bo Łódź zbudowali Niemcy, więc im się należało...

Potem doktor Ziegler rozdziera szaty nad swym losem.

Co za niesprawiedliwość. Jak mogli Polacy wysiedzieć z Łodzi folksdojczów. No tak, wszystkich nie wysiedlono, on, doktor Ziegler, mógł nawet w Łodzi pozostać, ale nie chciał. Sam wyjechał z Polski, bo nie mógł patrzeć na krzyżącą niesprawiedliwość. Nie mógł tego pojąć, że Polacy wystawili zdradzieckim folksdojczom rachunek za okupacyjną przeszłość. Rachunek w gruncie rzeczy zastanawiająco łagodny, może aż nadto łudzi. Ziegler oburza się na Polaków, bo w Łodzi stracił dom i dobrą posadę w szpitalu. Ale nie wspomina słówkiem o tych Polakach, którzy dzięki folksdojczom stracili w Łodzi nie tylko majątek, ale rzecz bezcenną, bo stracili własne życie. Ziegler nie wspomina ani jednym zdaniem, ani jednym słówkiem o katowicach na Sterlinga i na Radogosczy. Milczy. Jest wyrachowany, liczy na naiwność i brak orientacji swoich czytelników. Doktor Ziegler wyładował po wojnie w Ausbach w Niemczech zachodnich, a w 1952 roku przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Ale i tam trafił nie na ten brzeg i dopiero po latach dochrapał się posady podrzędnego lekarzy w trzeciordernym szpitaliku w Glenwood.

Więc Ziegler wzięł się w wolnych chwilach do pisania.

Rozmowa z Tadeuszem
CHRÓSCIELEWSKIM
o przekładach poezji,
o prozie i sprawach
wydawniczych

ODGŁOSY: Jest Pan powieściopisarzem i poetą, a jednocześnie zajmuje się Pan także przekładami z literatury obcej. Jak Pana zdaniem można określić sytuację przekładową w Polsce?

T. CHRÓSCIELEWSKI: Nie jestem przekładawcą profesjonalnym, a więc stale parającym się tłumaczeniami. Są miesiące, a nawet lata, kiedy mało interesuję się tymi sprawami i nie obserwuję sytuacji na rynku wydawniczym. Toteż nawet w odniesieniu do literatury rosyjskiej nie mogłbym zaryzykować odpowiedzi, jak by to powieść... miarodajnej. Wydaje mi się, że z przekładami na ogół nie jest źle, tłumaczy się sporo i te tłumaczenia wysoko przekraczają próg poprawności. Zdobywcą edytorstwa okresu powojennego są przekłady tomików poezji przez wiele piór. Przed wojną jeden tłumacz tłumaczył całą książkę, dzisiaj tego się nie praktykuje. Wyższość takiej właśnie organizacji pracy polega na tym, że przecież każdy tłumacz to inny warsztat poetycki, inna specyfika uwarstwienia. Jeden tłumacz jest predestynowany do wychwycenia jednych właściwości oryginału, inny innych. Stąd więc wielość tłumaczy daje nierównie większą gwarancję wierniejszego oddania bogactwa oryginału.

ODGŁOSY: Czy nie sądzi Pan, że większość przekładów z literatury rosyjskiej, jest na ogół nie udana? Dla przykładu posłużmy się tu przekładami Majakowskiego, którego wiersze w języku polskim ogromnie tracą na wartości i oscylują w kierunku grafomanii, albo wydany ostatnio tomik Cwietajewej pozbawiony charakterystycznej dla jej twórczości zadumy, kobiecego uroku i ciepła? I dlaczego tak się dzieje?

T. CHRÓSCIELEWSKI: Nie, chyba nie jest aż tak źle. Nie zapominajmy, że tłumaczenia są złem koniecznym. Ideałem jest, by wszyscy mogli czytać z oryginału, gdyż tłumaczenie oryginału nie zastąpi. A że tak się nie stało, to jedynie z powodu znanej Panu awantury na tle wysokościowców pomiędzy Panem Bogłem a Babilończykami. Za ówczesne brakrobstwo w budowie wysokościowca Babel Pan Bóg pomieszał ludzimi językami. Jako dalszy etap tej kary skazani zostaliśmy na tłumaczy.

Bywają poeci nieprzetłumaczalni. Podobnie jak i poeci w ramach danego języka „nieśladowalni”. Na przykład: Różewicz stworzył szkołę, ale wszyscy jego naśladowcy, razem z Małgorzatą Hillar, dawali i dają jej wiersze dosyć liche. Ale to dygresja. Do autorów, których twórczość znajduje się na krawędzi nieprzetłumaczalności należy właśnie Majakowski. Za to stosunkowo łatwo daje się na polski tłumaczyć Szewczenko, gdyż w naszej poezji romantycznej istnieją jego odpowiedniki, na przykład Bohdan Zaleski, a poza tym czytelnik otarł się na ogół o ludowe pieśni ukraińskie.

nieprzetłumaczalność idiomów i fraz Majakowskiego, wymaga zastąpienia ich idiomami i frazami z naszego języka, gdyż literalność prowadzi w tym wypadku do absurdu. Szukanie odpowiedników gubi z kolei wielu tłumaczy, ponieważ ich własna wyobraźnia i wynalazczość bywają najczęściej nie na miarę wyobraźni autora „Do brze”. Przychodzi mi o tym mówić tym swobodniej, że nigdy nie pokusiłem się o tłumaczenie Majakowskiego.

ODGŁOSY: A Cwietajewa?
T. CHRÓSCIELEWSKI: Zgadzam się z Pana krytyką tomiku Cwietajewej. Istnieje pewna niezdrowa tendencja wśród tłumaczy warszawskich bardzo uwarstwionych, jak to warszawskie dzieci Apollina, na sprawy mody. Otóż tłumacze ci nie zauważyli, że uleganie ciągłom mody jest czymś albo luto sprzecznym z samą istotą i ideą przekładu. Zadaniem tłumacza jest przenieść na



Fot. D. B. Łomaczewska

inny język oryginał, nie więcej. Nie uwspółcześniać go, broń Boże. Autor, zwłaszcza dawny autor, jest niemodny z natury rzeczy. Tłumacz musi zapomnieć, że od czasów, kiedy tworzył ten autor ubiegło kilkadziesiąt czy sto kilkadziesiąt lat rozwoju środków poetyckich, musi postugiwać się na rzędziach poetyckich, które w jego praktyce tworzył jako poeta oryginalny są już ana chroniczne.

Jeżeli tłumacz zdecydował się na przyswojenie dla Polski Cwietajewej, to nie wolno mu „oczyszczać” jej z ciężających na Cwietajewej, elementów modernizmu, lecz bez względu na obiegową w kawiarni warszawskiej opinię o modernizmie, wiernie te elementy powtarzać, a nie ulepszać autorki. „Szamujący się” poeta współczesny nie lubi rytmu regularnego, tym bardziej więc nie lubi śpiewnego sylabotoniźmu. Poeta ten, kiedy występuje jako tłumacz utworu sylabotoniźnego, musi zapomnieć o tych swoich modnych grymasach i pisać wierszem rozśpiewanym. Cwietajewa właśnie „unowocześniono”. Stąd bierze się i brak zadumy, i specyficznej nastrojowości jej wierszy. Redaktorowi tomiku zwrócił już na to uwagę w mojej obecności tłumacz rosyjski, bodajże Czukowski, w czasie dyskusji rosyjskich i polskich tłumaczy w Michałajewskim, w dworze Puszkina.

ODGŁOSY: Jakże wobec tego trzeba stawić wymagania w stosunku do tłumacza i czym powinien kierować się tłumacz dokonując przekładu?

T. CHRÓSCIELEWSKI: Tłumacz musi mieć wykształcenie filologiczne, a więc posiadać nie tylko intuicję, ale istotną wiedzę z dziedziny stylistyki historycznej, no i naturalnie, współczesnej. Tłumacz musi nauczyć się trudnej sztuki rezygnacji z własnej osobowości w momencie pracy nad cudzym tekstem. Musi zapomnieć, że sam jest poetą o określonej indywidualności, żyjącym w innej epoce. Jego rola, w tym wypadku, kojarzy mi się z rolą partnerki w tańcu, która nie powinna narzucać par force własnego stylu tańca, lecz bez względu na umiejętność tancerza, powtarzać jego ruchy i figury. Zdarzyło mi się w Lipsku, co mi się przy ostatnim moim „starczym” trybie życia trafia bardzo rzadko, być na całonocnym

dansingu. Przyszło mi tam tańczyć tango z panią, która jak się potem okazało, była zawodową tancerką, bodajże z baletu. Dama ta, przewyższając mnie rzecz jasną swoją sztuką, narzuciła mi bezkompromisowo swoją interpretację tańca, w wyniku czego nasz „występ” na parkiecie przypominał walkę francuską. Podobnie się ma właśnie rzecz z tłumaczem, który usiłuje narzucić autorowi własny styl. Przykładem odstraszającym w dziedzinie poezji, bo nie chcę mówić o współczesnych, jest Antoni Lange, który tłumaczył z wielu języków, w tym i z umarłych języków orientalnych oraz ze współczesnych sobie, a więc najnowocześniejszych wówczas, poetów francuskich, belgijskich i skandynawskich. Wynik był tego rodzaju, że poezje Rimbauda pod jego piórem stały się uderzająco podobne do twórczości poetów biblijnych, ci z kolei do starsanskrytycznych poematów, a wszystko razem... do twórczości oryginalnej Längego. I jeszcze jedno stwierdzenie-ostrzeżenie: tłumacz nigdy nie powinien brać się za tłumaczenie poetów obcych sobie temperamentem i zainteresowaniami problemowymi.

Ideałem tłumacza są dla mnie Tuwim i Porębowicz. Tuwim nie narzuca poetom swej własnej, jakże bogatej osobowości. Niech Pan weźmie do ręki jego trzy tomy „Z rosyjskiego”. Autorzy figurujący tam są i całkiem odrobni od siebie i, co znamiennejsze, od Tuwima. Tuwim dba o koloryt lokalny, narodowy oryginału. W jego rosyjskich wierszach „pachnie Rusią”. Między innymi nie spoliczają za wszelką cenę terminologii, pozostawia np. w „Zimowej drodze” Puszkina rosyjski wyraz „jamszczyk” nie tłumacząc go przez „woźnicę”. Słusznie, bo to wcale nie to samo i nie ma w języku polskim ekwiwalentu tamtego słowa, a czytelnik chyba nie ma kłopotu ze zrozumieniem wyrazu w kontekście, za to obcuje on z klimatem oryginału. „Trojka” jest dla niego trojka, a nie trójka. Naturalnie, w naśladowaniu Tuwima, trzeba zachować tuwimowski umiar, bowiem brak umiaru z kolei grozi wolapikiem.

Kiedy porównujemy język i strukturę stylistyczną „Boskiej komedii” w przekładzie Porębowicza i przyswojonych przez

niego poetów prowansalskich, trudno nam uwierzyć, że obu przekładów dokonał ten sam człowiek. To samo dotyczy przekładów poetów poisko-lacińskich Syrokomi, czy mało znanego, moim zdaniem, kongenialnego przekładu „Słowa o pulku Igora” pióra Lucjana Siemieńskiego.

Istnieje poeta, mało, niestety, w Polsce czytany z powodu wycofania łaciny ze szkół, Horacy. W minionym okresie tłumaczyło go setki ludzi. Bez powodzenia. Można by pomyśleć, że jest to poeta nieprzetłumaczalny, gdyby nie to, że właśnie Tuwimowi, który przełożył sporadycznie parę jego „Carmina”, udało się oddać urok i specyfikę jego antycznej luty.

Wydaje mi się, że najtrudniej przekładać poetów bardzo prostych. Wtedy bardzo łatwo prostotę zamienić w prostacko. Do takich prostych poetów należy Heine. Wielokrotnie przekładany, a sądząc z dwutomowego powojennego wydania jego dzieł, nikomu ta sztuka się nie udało. Większość jest niezamierzoną parodią.

ODGŁOSY: A czy nie wydaje się Panu, że język utworów tłumaczonych nie jest już językiem autora lecz językiem tłumacza?

T. CHRÓSCIELEWSKI: Nie bardzo rozumiem pytanie. Wydaje mi się, że właśnie powinien być językiem autora. Mówiąc trochę paradoksalnie, przekład powinien brzmieć tak, jakby napisał go sam autor w wypadku gdyby pisał w języku polskim.

ODGŁOSY: Mam w Łodzi coraz więcej przekładawców. Czy Wydawnictwo Łódzkie wobec tego zamiera na najbliższej przyszłości wydawać literaturę obcą?

T. CHRÓSCIELEWSKI: Tak. Będziemy wydawać tłumaczenia z rosyjskiego, litewskiego i czeskiego.

ODGŁOSY: Na zakończenie chciałbym zapytać o Pańskie plany przekładowe i twórcze na najbliższą przyszłość?

T. CHRÓSCIELEWSKI: Nie mam właściwie planów przekładowych, ponieważ przekładami od jakiegoś czasu zajmuję się tylko dorywczo. Nie można w równym stopniu parać się jednocześnie wszystkim dziedzinami: prozą, poezją, esesytiką i przekładami. Coś musi być na pierwszym planie, a coś na ostatnim. Niebawem wyjdzie obszerna antologia poezji radzieckiej nakładem Ossolineum, w której znajdzie się sporo moich przekładów m. in. Demiana Biednego, Mikołaja Mińskiego, Michaiła Terosimowa, Władimira Kiłłowa i Miry Lochwickiej. Wyjdzie też antologia poetów bułgarskich, w której są moje przekłady Aleksandra Muratowa, Iwana Dawidkwa, Aleksandra Germanowa. Niewielki wybór przekładów poety dagestańskiego Gamzatowa oraz ekspresjonisty austriackiego Georga Trakla.

Nie, przepraszam, jest plan. Chciałbym wydać i wystąpić do PIW z oficjalną propozycją przekładu jednego z najstarszych, czynnych do dziś, poetów radzieckich Grigorija Pietnikowa, byłego futurysty, przyjaciela Chlebnikowa i Majakowskiego, potomka polskiej rodziny Krajewskich, niezmiernie zasłużonej w powstaniu styczniowym. Dział wujeczny Pietnikowa, Karol Krajewski, był członkiem Rządu Narodowego i został powieszony razem z Trauguttem na stokach Cytadeli w 1864 r. Poeta, o czym szeroko pisałem w ostatnim numerze „Osnowy”, jest ściśle związany ucucio z Polską i jej kulturą. Jak Pan zauważył, z wyjątkiem ostatniej pozycji, wszystkie inne musiały wyjść spod pióra tłumacza już przed wieloma miesiącami.

Pracuję od dłuższego czasu nad powiescią na polski autobiograficzną, poświęconą życiu przedwojennemu i okupacyjnemu w Mińsku Mazowieckim, a w tym i działalności takich kół młodzieżowych w czasach pogardy, uratowaniu od zapomnienia spraw, postaw i aktów bohaterstwa, które, sądząc, jak najbardziej zasługują na wdzięczną pamięć narodu.

Pracuję także nad dwoma nowymi tomiami wierszy, które składam, ze względu na zrozumiałość, w wydawnictwach pozalódzkich.

ODGŁOSY: Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:

EUGENIUSZ IWANICKI

ANTONI SZRAM

O turyście i malarstwie
Zygmunta Hyżego
tudzież o wystawach BWA

Kartha z wystawy

Coś absurdalnego spotkało mojego zagranicznego gościa, który przyjechał do mnie w sierpniu. Zapytał, gdzie mógłby obejrzeć malarstwo łódzkie. „W muzeum — odpowiadać — wystawiają po jednym, dwu obrazach. Albo w BWA...”, „BWA? To jakaś firma samochodowa” — pyta. Wyjaśniłem cierpliwie, że to nasza, państwowa instytucja, „obsługująca” artystów plastyków, że im przygotowuje wystawy, że oficjalna, pełnobraźniaka nazwa, to Biuro Wy-

staw Artystycznych. Idziemy wtedy. Potem wracamy. O nic turyście nie pytam, bo nie bardzo wypada. Oba łódzkie salony były starannie zamknięte przy użyciu niezawodnych urządzeń zatraskowych marki „Yale”. Różnica w tym wypadku polegała tylko na tym, że Instytut Propagandy Sztuki (park Sienkiewicza) ukrywał przed turystą Wystawę Plastyków Ziemi Łódzkiej, zaś Salon Sztuki Współczesnej (Piotrkowska 88) stał pusty i absolutnie zbud-

ny (czy nie można było go wynająć studentom PWSSP na wystawę letnią?). Czym wytłumaczyć temu turyście taki stan rzeczy? Remontem? Przyjęciem towaru? On i tak nie rozumie. Jak mam uzasadnić sensowność letnich wystaw Biura Wystaw Artystycznych?

Męczę się strasznie starając się traktować serio swoje prze wodnictwo po Łodzi. Wreszcie, ośniony pomysłem zabieram swego gościa na ekspozycję „pokątną”: do „Gumówki”, do Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego („Wojsko” Stani sława Syndmana), do klubu Ligi Kobiet. Tu zainteresował nas pokaz kolorowych rysunków Wiktora Szewczyka z To maszowa Maz. Jakże ludową wrażliwość przedstawia ten artysta! Rysuje drogę żelazną, „polskie kolejówki” — niemal z obsesją. Z tego tematu „serial” małych arcydziełek. Potrafił osiągnąć prawdę i cel. Rozczulają nas niemal te, chwilami karykaturalne, autentyczne obrazy atakujące przeżoconą powierzchnią i żarem słońca, promieniami liżącymi czarne semafor, wagony i parowozy zagmatwane w tyśiącu szyn. Te prace będą kiedyś bezcenną osobliwością

w jakimś muzeum taboru ko lejowego.

W łódzkich muzeach — bez zmian. Idziemy dalej. W gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej działa mniej więcej od roku nowy, zetemesowski punkt wystawienniczy. Odbyło się tu sporo interesujących imprez plastycznych (m. in. pokonkursowa wystawa rzeźby dla uczczenia Czynu Partyzanckiego w Polichnie, wystawy z plenerów Ziemi Łódzkiej, fotograficzna — osiągnięć kulturalnych i gospodarczych Ziemi Smoleńskiej, malarstwa Kawalerowicz, technik mieszanych Piotra Gogolewskiego).

Dzisiaj wystawia tu malarstwo pejzażowe Zygmunt Hyży. Niemożliwy jest nasz nacisk na zmianę zainteresowań bardzo cenionego artysty malarza. Nawet gdybyśmy skierowali przeciw niemu jakieś wymyślne wymagania, nikt nie traktowałby tego serio. Nie ma zresztą powodu do krytyki drogi artystycznej uznanego przez profesjonalistów twórcy, który w bieżącym roku po raz drugi reprezentował nasz okręg ZPAP na IV Festiwalu Malarstwa w Szczecinie, a po raz czwarty

brał udział w plenerze Ziemi Łódzkiej.

Nauczyliśmy się doceniać i smakować różne tendencje, każda ma swój urok i swoje własne odkrycia. Zygmunt Hyży nie wyważa otwartych drzwi, gdy maluje sceny rodzajowe. Jego obrazy, nawet wbrew oczekiwaniom, budzą specjalne zainteresowanie. Sztukę tego artysty akceptuje się wraz z jej malarsko roz wiązaniem efektami, godzacy mi kolor z treścią. Kolor ma tu ustalane miejsce, oznaczenie, wartość, bez udziwnień fakturalnych. Gładkie, srebrzy stopopielate płótna, z ostatnich dwóch lat, poruszają stare tematy: ulice, ogrody, parki, małe domki, zabytki, architekturna przemysłowa. Obrazy te nie oznaczają zmiany stylu od czasu pierwszej indywidualnej wystawy (BWA, Łódź 1962), ale jego intensyfikację, oczyszczenie z tych wszystkich elementów kolorystycznych, które były przypadkowe. Oglądając te prace widz nie musi czynić zabiegów interpretacyjnych, treść leży na wierzchu, w każdym syntetycznym malowanym domku („Dom Długosza”), ulicy („Wambierzyce”, „Zakręśmierci”), szkieletu postaci („Radoszcz”), w każdym szcze-

gole architektonicznym („Sulejów — zanek”, „Sandomierz”).

Troska o naksymalne działanie koloru widoczna jest na wszystkich pracach, w gamie prawie monochromatycznej. Jest to podstawowa cecha tego malarstwa. Niektóre obrazy okazują się wprost fenomenalne, balansując na krawędzi kiczu i sztuki. Czyste ilustracyjne pierwiastki, posia dające być może pewien starożytności wdzięk pastiche'u naturalistów, ukonkretnione w malarstwie naszego artysty na brały własnego stylu, nowego wyrazu.

Wzruszenie, zawsze towarzyszące oglądaniu tych obrazów, sprawia, że zajmują one wybitne miejsce nie tylko w bogatej twórczości ich autora, ale również w dorobku współczesnej łódzkiej sztuki figura tywnej.

Po tych wystawienniczych peregrynacjach rozstaje się z moim turystą. Wracając do domu wzdycham pobożnie, od dając się rozmyślam, jakby to skutecznie uczulić kierownictwo BWA na potrzeby artystyczne Łodzi w okresie lata. Bo przecież, mimo złowieszczych prognoz, zdarza się nam ono co roku...

Nowe wiersze

JAN KOPROWSKI

Wspomnienia z Krymu

Tędy chodził Mickiewicz,
stąd na morze patrzył.
Pod krymskimi palmami
 tęsknił do Zaosia.
Z Puszkim i Rajewskim
nocował w Gurzufie,
gdzie skałę Aju-dahu
widać jak na dłoni.

W Atuscie dniami i nocą
Czterydzieści wabił,
aż zmęczony tęsknotą
porzucił te miejsca.
I drogą przez Aj-Petri,
góorską i opasną,
w Baczysaraju wrota
zawitał o świcie.

Wśród opuszczonych pieczar,
monastyrów skalnych
nie odnalazł spokoju,
odnalazł niepokój.
O młodziutkiej Potockiej,
co zmarła w niewoli,
sonet ułożył piękny
do „Sonetów krymskich”.

Chodzę po jego śladach
z tamtego stulecia.
Do ksiąg starych zaglądam,
gromadzę wspomnienia.

Zgubiony wśród turystów
obcych i nieznanym,
patrzę na Krym wierszami
natchnionego piewcy.

Morze Czarne

Brzeg kamienisty rani stopy,
ciepła fala z bólu je omywa.
Tak daleko stąd do Europy
i do kraju, gdzie teraz są żniwa

Ajwazowski na ogromnym płótnie
namalował wody wzburzone.
Piękne niebo, cyprysy smukłe,
a ja w tamtą spoglądam stronę.

Przy mogile Tołstoja

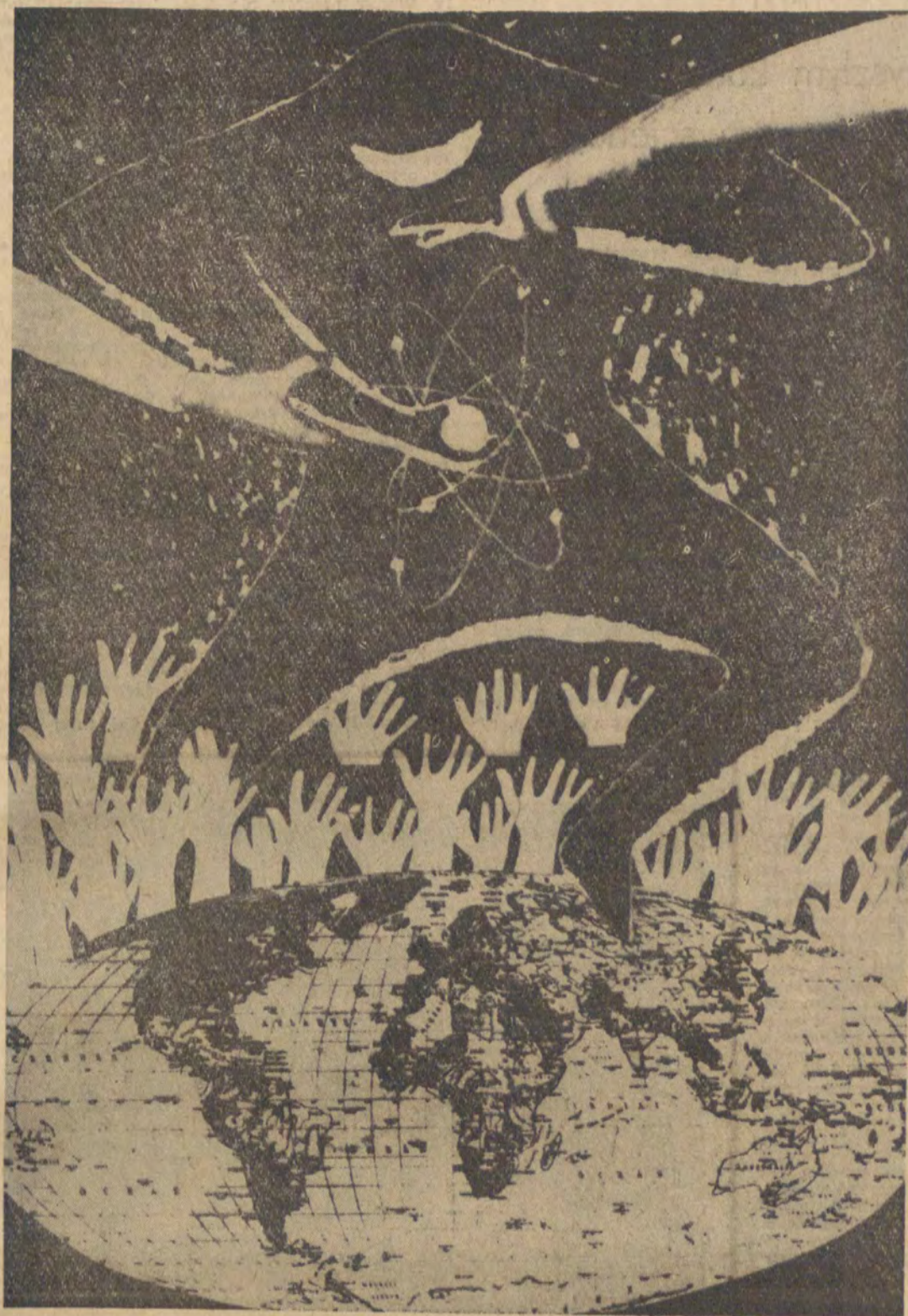
W Jasnej Polanie
wśród rozległego parku
pod wysokim strzelistym klonem
spi snem wiecznym rosy brodac
w białej rubaszce.

Grób zarośnięty murawą
bez krzyża i tablicy
ściąga przybyszów z Rosji,
Europy i świata.

Autor „Wojny i pokoju”,

„Anny Kareniny” i „Zmartwychwstania”
mieszkał tu i pisał,
odpoczywał na ławce i w stawie się kąpał,
uciekał i powracał,
aby w Jasnej Polanie
pozostać na zawsze.

Do tego grobu nieznanego
wszyscy trafią,
wszyscy go odnajdą.
Leży w nim wielki pisarz
i słaby człowiek —
Lew Tołstoj.



Fot. J. Gyula

POEMKA z Książkami

„Księga wędrowek”

Tak więc, wędrowka została zakończona. Ta księga nie będzie miała dalszego ciągu. Autor „Powieści o życiu” nie żyje. Jego śmierć zbiegła się z wydaniem u nas ostatniej, szóstej części tego ogromnego cyklu, nazwanej „Księga wędrowek”.

Konstanty Paustowski, syn Polki i Rosjanina, autor opowiadań i artykułów publicystycznych, bajek i sztuk scenicznych, reportaży i powieści, był chyba ostatnim z wielkich romantyków naszej epoki. U śladnego ze współczesnych nam pisarzy nie znajdziemy tyłu barw, światła, ruchu, powietrza i życia, co w utworach Paustowskiego. Był on świadkiem największych historycznych wydarzeń naszego stulecia, spotykał się z ludźmi, którzy na stałe weszli do literatury (wystarczy wspomnieć Babię, Gorkiego, Bagrickiego, Priszwinę), przeszedł piekło wojny domowej, głodu, szalejącego tyfusu, uczestniczył w powstawaniu wła-

dy radzieckiej i był jednym z tych pisarzy, którzy pierwsi stanęli po stronie rewolucji. Wszystko to, całe swoje bogate doświadczenie, swoją pasję i miłość do życia, przeżył Paustowski na karty „Powieści o życiu”.

Myślę, że nie trzeba nikogo zachęcać, by sięgnął do „Księgi wędrowek”. Dzisiaj twórczość Paustowskiego to już klasyka.

Na zakończenie trzeba parę słów poświęcić wydawcy książki, którym jest Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”. Przyzwyczajaliśmy się, że z tej ofiary wychodzą książki o starannym opracowaniu edytorskim. Nie można tego, nie stety, powiedzieć o „Księdze wędrowek”, która przez wydawcę została potraktowana niedbale i pomacoszemu. Ale przecież wartość książki nie zależy od jej oprawy.

E. I.

Konstanty Paustowski —
Księga wędrowek. Czytelnik. 1968 r. Str. 236. Cena 13 zł.

„Szybkobiegacze”

Otrzymał debiut prozatorski Krzysztof Coriolana, młodego i nie pozbawionego talentu początkującego poety i prozaka. Oczywiście debiut nie jest żadnym wykładnikiem talentu, ale jest swego rodzaju kredytem, jaki otrzymuje autor na dalszą drogę twórczą. Bywa, że debiut jest jednocześnie ostatnią książką. Zdarza się, że każda następna świadczy o tym, iż zaufanie, jakim czytelnik obdarzył pierwszą książkę autora, zostało mocno nadużyte.

„Szybkobiegacze” Coriolana otrzymał ten kredyt. Czy autor nie zawiedzie zaufania czytelników, o tym w tej chwili nie można jeszcze mówić. Tomik, w którym są cztery opowiadania, posiada wspólną cechę, jaką jest nie kończący się monolog wewnętrzny bohatera. Uwielbianie się w drobne, często nieważne fakty, rozdzęta introspekcja niczemu nie służyca, sprawiają, że po przeczytaniu kilku stron zaczyna się odczuwać monotonię. Opowiadania nie są z rzędu tych, co to porównują i zmuszają do refleksji. Poprawność formy nie broni przed gadulstwem i autor plynie na fal słów, nie mając możliwości przerwania w odpowiednim miejscu.

Przy tym wszystkim w opowiadaniach dostrzegamy talent, który przy umiędnej pielęgnacji, ma wszelkie szanse na pełne rozwinięcie się. Coriolan umie patrzeć, jest wrażliwy i inteligentny, a balast słów, jakim obciążona jest dotychczasowa jego twórczość, miejmy nadzieję, że z czasem zostanie odrzucony. Bo nie wszystkie słowa są konieczne, czasem dobrze jest pozbyć się niepotrzebnego ładunku częściej gadaniny.

E. I.

Krzysztof Coriolan: Szybkobiegacze. Wyd. Literackie, 1968 r. Str. 120. Cena 10 zł.

„Arabia Felix”

Ani tytuł książki — „Arabia Felix”, ani nazwisko autora — Thorkild Hansen, niewiele mówią czytelnikowi. Dopiero podtytuł — „Historia duńskiej ekspedycji 1761—1767” pozwala się zorientować, że z nowej pozycji, bardzo estetycznej, a chętnie by się rzec — eleganckiej, serii „ceramowskiej”, ucieleszają się przede wszystkim miłośnicy książek podróżniczych. Thorkild Hansen, wybitny współczesny pisarz duński, wiele czasu spędził na zbieraniu materiałów do swojej książki, poświęconej pierwszej, prawdziwie naukowej ekspedycji na terytorium Półwyspu Arabskiego, a ściślej na ziemi, zajmowanej dzisiaj przez Jemen. Żmudna praca autora dała efekty. Powstało dzieło, które ma wartość dokumentu. Autor drobniutko i dokładnie odtwarza historię ekspedycji i głównego bohatera książki, duńskiego podróżnika Niebuhra. Hansen nie pozwala nudzić się czytelnikowi; żywo i barwnie przedstawia kolejne po czynianiu i przygody uczestników wyprawy, pokazując ich to jako typowych bohaterów-odkrywców, to jako odatych z owego bohaterstwa, zmęczonych codziennymi kłopotami ludzki. Zgodnie z podtytułem, książka Hansena jest przede wszystkim historią ekspedycji duńskiej, a natomiast w mniejszym stopniu pokazuje ową Arabię Szczęśliwą, tajemniczą ziemię, którą w czasach Niebuhra podejrzewano o to, że jest legendarnym Eldorado. Można jednak darować autorowi za fascynowanie wyprawą i ludźmi w niej uczestniczącymi, bo czyta się jego książkę z uwagą i zacięciem. Dodatkową atrakcją są liczne, bardzo staranne rysunki Baurenfeldta i Niebuhra, które jeśli nawet nie przyniosą nam większej satysfakcji estetycznej, z pewnością zainteresują obyczajowymi obrazkami z arabskiego świata.

B.M.

Thorkild Hansen — Arabia Felix. PIW, 1968, str. 255, cena 21 zł.

Przyszłym kandydatom filologicznych sciencyj ku rozwadze

Emocje egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie mamy dawno poza sobą. Ci, którym się powiedziało, wspominają nerwowe dni przygotowań i ostatnie kilkadziesiąt minut rozgrzewki z uczuciem zasłużonego triumfu. Pozostali, którzy odpadli, zwykli mówić, że „nie mieli szczęścia”, obarczając wszystko i wszystkich za swe niepowodzenie i obnoszą swoją przegraną jako rezultat życiowego pechostwa, jako wybieg fatalności losu. Nie potrafią, rzecz prosta, powiedzieć, ilu z nich upatruje w klęsce własną winę, może wielu, może tylko nieliczni. Prawda jest natomiast, że jakaś część zdających wychodziła z sal egzaminacyjnych w przeświadczeniu o niefortunnym wylosowaniu bilecików z pytaniami; gdyby otrzymali inny zestaw, przebieg odpowiedzi byłby poprawny, a indeks zapewniłby.

Samokrytycyzm nie jest udziałem osiemnastoletniej młodości, nie kontroluje on jej postępowania. Jak się wyraża inny zgoła czynnik odgrzewa pierwszą rolę w egzaminacyjnych zapasach. Ten, że jakoś to będzie, a nawet — że dobrze będzie, ponieważ najbliższe otoczenie szkolne i domowe, podtrzymywało w ciągu ostatniego okresu mniej więcej do wiedzy i zdolności ucznia. Rokował najwyższe nadzieje, a tu... Takie opinie nie można nieradko słyszeć od zawiedzionych rodziców, i w takich wypadkach winnych szuka się z reguły poza samym sprawcą rozczarowania. A przecież często bywało, iż stopnie ze świadectwa maturalnego nie rymowały się z pełnią z wartości odpowiedzi egzaminacyjnych, częściej zaś bywało, że kandydat demotrował przed Komisją tę sumę wiadomości, którą wzięcie i brutalnie oddają jego noty — trójki — trójczyny, co gorza, z kierunkowych przedmiotów — czyli nie z niespodzianki, wynik był przesadzony.

Uwagi te, formułowane na podstawie obserwacji nie tylko tegorocznych egzaminów na filologię polską UŁ, można by, naturalnie, zaopatrzyć szeregiem wnikliwych przypisów. Lecz co by się jeszcze nie wypisało na ów temat, który brzmi: niedostateczne przygotowanie większości kandydatów — nie sposób wprowadzić w jakakolwiek diagnozę terminów usprawiedliwiających dalszy stan rzeczy — przynajmniej w moim rozumieniu powagi i odpowiedzialności studiów, jakichś utasakawień i pobłażan stosować niepodobna. Kryteria ulgowe są nie do przyjęcia, choćby z względu na wielkość i ogrom zadań, jakie stawiamy sobie, jakie będą — muszą — wypełniać wchodzące w wiek dojrzały roczniki.

Pod pojęciem przygotowania kandydata na studia rozumiemy nie tylko szkolny zasób wiedzy. Jest on niezbędny lecz niewystarczający, jeżeli nie został nasycony i, zdynamizowany zaangażowaniem i pasją. Nie sądzę, ażeby tymi walorami odznaczali się jedynie kandydaci na studia filologiczne, żeby nie były w tej samej mierze w kierunkach technicznych czy medycznych, nie da się wszakże zaprzeczyć, iż w dyscyplinach humanistycznych nabierały te przymioty szczególnej wagi, są niejako *conditio sine qua non* naszego zawodu, stanowią bowiem i materię i narzędzie humanisty. Wolno przymknąć powieki na braki erudyckie, na nieporadność pisarską — uczelnia je usunie — trudniej widzieć „spolegliwego” wychowawcę, rzetelnego, sprawnego pracownika placówek kulturalno-oświatowych czy artystycznych albo świetnego dziennikarza w kandydacie, pozabawionym skry zaangażowania, odrobiny wyobraźni, krzty wrażliwości — studia pomogą jeno rozwinąć i usubtelnić te cechy, trzeba jednak już coś mieć na starcie.

Pytają nas spoza uczelni, rozmawiamy o tym markotnie między sobą, czy przeciętny

poziom przygotowania poprawia się z roku na rok, czy „element”, jaki w skwarny lipiec melduje się przed stolami Komisji, lepszy jest czy gorszy — wszelkie uogólnienia zawierają w sobie ryzyko błędu, bezpieczniej odpowiadać pośrednio, np. wskazać na zastanawiającą niefrasobliwość naszej młodzieży w świetle liczb. Wiadomo, że ilość miejsc we wszystkich uczelniach jest blisko trzykrotnie mniejsza od liczby ubiegających się o przyjęcie. Choć to wygląda na paradoks, rywalizacji mimo tak ostrej konkurencji właściwie nie ma. Walka o miejsce, powtórzmy z naciskiem, nie jest dostatecznym dopingiem do wzmożenia wysiłku. I oto listy z kandydatami, co zdali egzamin, zdali a nie zostali z braku miejsc przyjęci, a wreszcie nie zdali egzaminu, te listy, które winny być wielce pouczającymi tekstami, ry-

ty. Wbrew pozorom nie dość pochłania ją wytyczony sobie cel. Nikt nie żąda, aby kandydaci buchali gejzerami erudycji, jakkolwiek takie fenomeno przyjmowano by z niewątpliwą satysfakcją. Z drugiej strony trudno uznać za idealne posiadanie tej tylko sumy wiadomości, którą zakresił program szkolny. Zakładam, iż obierający określony kierunek studiów powinien wiedzieć przynajmniej nieco więcej z tej dziedziny, która sędzą po wyborze, przeciwko go najbardziej interesuje, np. sposobności się do studiów filologicznych powinien wybiłać się rozległym wyuczeniem, orientować się we współczesnym życiu literackim itp. Przypytując rygorystycznie w trakcie egzaminu wstępnego z obowiązkowych w szkole lektur, nie wychodzi się poza ten uświęcony obszar. Niezmiernie rzadko słyszało się, aby ktoś wzbogacił swą wypowiedź treściami nieprzetrawionymi w ławie szkolnej. Systematyczność jest warunkiem przyswojenia każdej nauki, śmiem twierdzić, iż np. ciągłość lektur (choćby prasy literackiej) jest koniecznością w tym zawodzie i braku w tym względzie uwewnętrznienia się wyjątkowo jaskrawo. Widać ten nie dowład systematyczności, np. po znajomości języków obcych, które są (jak długo jeszcze?) pięcią achillesową naszą mł-

trzymywania” informacji, zna nych jakoś, czasem i dobrze, jest raczej rzadka, i trudno wprost uwierzyć, że ich reprodukcję hamowała np. trema, występująca przecież najczęściej jako skutek nieuctwa.

Ten „zmysł” trzeba w sobie wyrabiać, poza powietrzem, nic darmo nie dają. A sposobów rozszerzenia wiedzy jakże wiele w naszej epoce masowych środków informacji, zwłaszcza w naszym systemie, przy rozwoju struktury ruchu oświatowo-kulturalnego — dość otworzyć głowę... A jednak! Ważne z rozmaitych względów i w różnych przekrojach spraw nie pochłania ją na tyle uwagi znacznego odsetka obserwowanej w młodzieży, aby snuć pogłębienie refleksje. Jakże sprawy i problemy ją interesują, oczywiście nie umiem powiedzieć, chociaż domyślam się po trosze. Np. faktem jest bezspornym, że posiadają ubogą wiedzę o współczesności. Dotyczy to i historii niedawnej i teraźniejszości, politycznej i artystycznej czy literackiej. Lepiej orientują się w przyczynach wybuchu Powstania Listopadowego i w problematyce noweli Marji Konopnickiej, niż w ułożeniach ustrojowych Polki Ludowej, i w poezji Władysława Broniewskiego.

Coś tutaj bardzo nie grp



Z teki ŁTF.

Fot. J. Maroszek

chło rozpierchają się w pamięci, werdykty te nie stają się memento, znakiem przestrogi, dla kolejnych roczników. Czy myślą sobie: jakoś to będzie? Ano tak. Jeśli nawet sprawdzian w murach uczelni kończy się sukcesem kandydata, to wyniki tegoroczne uzyskane przez większość nie zachwyciły. O czym to świadczy, że np. na 130 zdających z historii literatury polskiej (ilość przepytana przez jedną Komisję) były za ledwie dwie oceny bardzo dobre.

Zwykło się przy tym część odpowiedzialności za niski poziom przerzucać na szkołę średnią, zapominając, że najdoskonalszy program nauczania realizowany przez wybitny zespół nauczycieli nie gwarantuje sukcesu. Zależy on przede wszystkim od samych uczniów. Wracamy znowu do punktu wyjściowego, do truiumu: wszystko w rękach ucznia.

Wziósłków jest kilka. Pierwszy, naczelnym, że młodzież zbyt mało przykłada się do robo-

dzięży. Meldunki z egzaminów wstępnych w innych uczelniach (np. w Uniwersytecie Warszawskim) potwierdzają sytuację alarmową. Nie jest też najlepiej ze znajomością języków obcych wśród studentów i absolwentów. Na tym odcinku prawdopodobnie większą część winy obciąża szkołę średnią, bo ja zresztą wiem. W każdym razie uzasadniony, bo wielki niepokój wywołuje ta głuchota naszej młodzieży. Aż wstyd pisać: filolog musi znać choć jeden język!

Mówi się o systematyczności pracy, miałem też na myśli aktywną postawę w odbieraniu różnorodnych informacji, uczenie na ich przydatność w sensie doraźno-praktycznym i ogólnym. Nazwałbym to dysproporcją pewną interesownością w przyjmowaniu, która mogłaby się nawet przejawiać w czysto kalkulacyjnym stosunku do napotykanego zespołu informacji. Trzeba by je przyjmować choćby pod kątem ich wykorzystania. W czasie egzaminu niejednokrotnie okazywało się, iż ta „sztuka prze-

nie chodzi tu jedynie o wiedzę.

Ostatni akapit poświęcam tym, którzy wyróżnili się szczególnie dodatnio i ujemnie. Do skonałe wypadła młodzież robotnicza, uplasowała się na dobrych miejscach w ogólnej punktacji — na przeciwnym biegunie znaleźli się synowie i córki miejscowej inteligencji twórczej — oszczędnie wymieniania specjalizacji, ale kłajdyfikację zawodową rodziców podają precyzyjnie. Oszczędzę czytelnikom cytowania odpowiedzi, z jednym atoli wyjątkiem, który mnie dotknął zaiste boleśnie i obruszył — na pytanie o życie artystyczne i literackie naszego miasta — głębokie milczenie i: — „Mogłabym coś powiedzieć o Warszawie”. Tworzy w Łodzi około 50 pisarzy, co roku ukazują się kilkanaście książek, działa wydawnictwo, ukazują się czasopisma, mamy silną grupę artystów, jest świetnie rozwijające się Muzeum Sztuki, pracuje kilka teatrów... Ale, ale... do kogo ta mowa? Właśnie! Bardzo prze-



Przekładaniec Lema i Wajdy

Film telewizyjny jest u nas zjawiskiem dość nowym. Rozwijana od paru lat jego produkcja wciąż jeszcze z najwyższym trudem pokrywa szybko rosące zapotrzebowanie. Pamiętajcie zaś trzeba, że niewiele lat dzieli nas od uruchomienia drugiego programu TV. Wówczas chłonność telewizji wzrośnie w dwójnasób. Trzeba więc już teraz przygotowywać się do wzmogonych zadań stojących przed twórcami filmów telewizyjnych.

Krótką historią polskiego filmu telewizyjnego ma już do odnotowania poważniejsze sukcesy. Wystarczy wspomnieć powodzenie seriali „Czterej pancerni i pies”, która potrafiła połączyć trapiący młodego widza element sensacji z wartościowymi wychowawczymi, propagującymi tradycje walk Wojska Polskiego z hitlerowskim okupantem. Udało się przy tym powołać do życia kolektywne bohatera, który stał się wzorem dla dzieci i młodzieży, wzmógł zainteresowanie problematyką wojskową, stał się inspiracją gier i zabaw, przenikał nawet do przemysłu namiotarskiego i konfekcyjnego. Można więc mówić o sukcesie wielopłaszczyznowym, typowym dla kultury masowej.

Nietrudno już dziś przewidywać, że przygotowana seria filmów o kapitanie Kłosie uzyska co najmniej takie samo powodzenie, jak widowska studyjne o tym popularnym bohaterze młodzieżowym (i nie tylko młodzieżowym). Powodzenie, którego źródło leży w równym stopniu w scenariuszach i reżyserii, jak i w aktorze St. Mikulskim.

Nieco gorzej dzieje się na odcinku filmu kryminalnego. Wprawdzie i tutaj powstał typ popularnego bohatera kapitana Sowy i jego dzielnego pomocnika. Para ta niby rodzimy Sherlock Holmes i doktor Watson, zyskała wiele sympatii. W tym wypadku jednak głównie dzięki wykonawcom — Wiesławowi Golasowi i Michałowi Szewczykowi.

Strona scenariuszowa serialu „Kapitan Sowa na tropie”, jak i reżyseria pozostała wiele do życzenia, trącając zbyt często naiwnością i powtarzaniem do znudzenia chwytami. Z faktu jednak, że sam typ dzielnych i inteligentnych oficerów śledczych Milicji Obywatelskiej, jak to się mówi, chwycił, należy wyciągnąć wnioski. Podnieść poziom wymagań scenariuszowych i realizatorskich, ale serial kontynuować. Zaspokaja ona bowiem zapotrzebowanie na film kryminalny, a jednocześnie budzi sympatię i uznanie dla pracy naszej milicji. Wiadomo zaś, że milicja w swym działaniu potrzebuje życzliwości i pomocy społeczeństwa.

Wyraźniej rysującym się kierunkiem produkcji filmów telewizyjnych są również polskie „dreszczowce”, o duchach, zjawach i innych zjawiskach nadprzyrodzonych, których oglądanie podobno znakomicie dopomaga trawieniu. Są pośród nich obrazy lepsze i gorsze, ale na ogół wszystkie można przyjąć pod warunkiem nietraktowania ich zbyt serio.

Dość pokaźną już ilość stanowią filmy artystyczne, oparte najczęściej na dobrej literaturze. Niektóre z nich są powtórzeniem spektakli teatru TV, jak „Wystrzał”, „Mistrz” czy zatwierdzone — jak słyszałem — do produkcji „Urząd”. Inne są ekranizacją noweli i opowiadań zaczerpniętych z klasyki polskiej i obcej. Można chyba bez większego ryzyka twierdzić, że ekranowe adaptacje dobrej literatury mają dużą wartość popularyzacyjną. Jeżeli nawet zgodzimy się, że przeróbki ekranowe daleko odbiegają od wartości literac-

kiego oryginału, to — jak pisze francuski krytyk filmowy Andre Bazin — „kultura, a zwłaszcza literatura — nie mają w tej przygodzie nic do stracenia”.

Przegląd krajowej produkcji filmów telewizyjnych, jakiego starałem się tu dokonać, jest niepełny i skrócony. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że wachlarz tematyczny i gatunkowy tej nowej gałęzi twórczości jest jeszcze dalece niewystarczający. Stanowczo niedostatecznie reprezentowana jest problematyka współczesna, brak dotkliwych komedii, zwłaszcza obyczajowej, nie ma satyry.

Jedynym w swoim rodzaju był emitowany ostatnio film „Przekładaniec” według opowiadania Stanisława Lema, w reżyserii Andrzeja Wajdy. Do tych dwóch znakomitych nazwisk należy dodać jeszcze jedno: Bogumila Kobieli, wykonawcy głównej, można powiedzieć — tytułowej roli pana Foxa.

Nie popełniam tu przejęzyczenia. Pan Fox jest wyalnie „przekładaniem”, czyli osobnikiem, którego poszczególne części ciała i organa pochodzą od innych ludzi. Oczywiście drogą przeszczepów.

Telewizyjna komedia filmowa Lema i Wajdy porusza więc w krzywym zwierciadle jedno z najbardziej aktualnych i uniwersalnych zagadnień współczesności. Rok 1968 przyniósł pierwsze niepewne jeszcze sukcesy w zakresie przeszczepiania serca ludzkiego. I choć los doktora Blumberga budzi u immunologów nadal wątpliwość, wokół możliwości przeszczepu serca budowuje się problematyka nie tylko medyczna, ale prawna, moralno-etyczna, na wet religijna.

Film Lema i Wajdy przenosi nas w świat fantazji, ale fantazji, która w jakimś sensie może się w przyszłości zrealizować. W tym świecie możliwe są przeszczepy ludzkich narządów wewnątrz nych w tym zakresie, w jakim przy posiadaniu części zamiennych remontować można samochody. Pan Fox ulega dwukrotnie katastrofie samochodowej i stopniowo staje się przekładaniem, organizm z powymienianymi częściami, przy czym coraz mniej jest w nim dawnego pana Foxa, a coraz więcej różnych dawców przeszczepów.

Na tym tle rodzi się komiczna sytuacja prawna, z którą nie lada kłopoty ma adwokat (gra go Ryszard Filipiński). Rzecz rozwiązuje się dopiero w pewien sposób, gdy pan Fox ginie w trzeciej katastrofie samochodowej i oddaje swój wygląd zewnętrzny drugiej ofiarze wypadku.

Mamy więc do czynienia z humorem nonsensowym, ale wyprowadzonym z przesłank racjonalnych. Świat, w którym żyjemy, zmienia się tak szybko, że to co wczoraj było grą fantazji dzisiaj staje się rzeczywistością. Przypnam, że film Lema i Wajdy przyjętam z dużą przyjemnością. Ze względu na jego mimo wszystko aktualną problematykę, ze względu na zręczny scenariusz i na zręczny warsztat realizatorski. No, i powtórzmy raz jeszcze, ze względu na świetną grę Kobieli.

W informacji prasowej wy czytałem, że „Przekładaniec” ma być przez Telewizję Polską zgłoszony na tegoroczny festiwal radiowo-telewizyjny „Prix d'Italia”. Wybór chyba bardzo słuszny, gdyż film dotyczy spraw, którymi żyje cały świat współczesny. Nie bedziemy się musieli wstydić.

Władysław Górnij

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Eksmisja z Grande Galerie słynnego obrazu Leonarda da Vinci wywołata zamieszanie mieszkańców Paryża.

KŁOPOTY Z „GIOCONDA”

■ „Gioconda” Leonarda da Vinci jest chyba najśłynniejszym obrazem na świecie i chyba żadne płótno nie wywołuje tylu sporów i tylu sensacji, co ów portret damy z tajemniczym uśmiechem. Przed kilkudziesięciu laty w nie dosyć wyjaśnionych okolicznościach obraz zniknął z Luwru i znalazł się znowu. Spory wśród znawców i wielbieli arcydzieła mistrza Leonarda wybuchają co pewien czas: Czy Mona Lisa to Mona Lisa? Kim była „Gloconda”? W zeszłym roku właściciel lon-

dyńskiej galerii obrazów, Henry Pulitzer w stustro nicowej książce pt. „Where is Mona Lisa?” stwierdził: „Rzeczywista Mona Lisa Leonarda da Vinci wisiała nie w muzeum paryskiego Luwru, ale spoczywa w mojej skrytce bankowej”. A może Mona Lisa to był mężczyzna, którego boleć bruch? — kpił niestety Marcel Duchamp malował „Glocondę” z wąsikami i trzeba przyznać, że wypadło to dość przekonywująco. Od niedawna piosenkarz francuski Jean Rigaux upiera się, że odnalazł twarz modela-mężczyzny do „Glocondy”, wprawdzie na obrazie nie samego

mistrza Leonarda, ale jego ucznia. A ostatnio „Gloconda” znów wprawiła w niepokój swych paryskich wielbicieli. Oto dyrektor muzeum w Luwrze zarządził „przeprawadkę” „Glocondy” z Grande Galerie do innej sali, co wielbiciel obrazu uznali za „detroniację” arcydzieła. Wiele osób pośpieszyło do Luwru, by naocznie się przekonać, jaki to los spotkał Monę Lisę. Na miejscu gdzie wisiała znalazłono teraz jeden z obrazów Watteau. W prasie ukazały się uspokajające artykuły, w których tłumaczono, że

przeniesienie obrazu Leonarda da Vinci do innej, mniej reprezentacyjnej sali nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek wartościowaniem obrazu, a stało się tak jedynie dlatego, że dokonuje się reorganizacja muzeum w Luwrze, od dawna zresztą zaplanowana oraz zamierzone są prace nad renowacją muzeum. Grande Galerie zaś, w której znajdowała się „Gloconda” będzie oddat służyć wyłącznie mistrzom francuskim XVII i XVIII wieku, co znakomicie ułatwi przewidzianym systematyczne oglądanie dzieł tego malarstwa.

Reorganizacja i restauracja Luwru stały się konieczne, gdyż pałac nie jest jak dotąd, należyte przystosowany do tego, by pełnić rolę muzeum. Budowę Luwru, dawniej siedziby królów francuskich, rozpoczęto jeszcze w roku 1220. W wieku szesnastym wnie siono na tym miejscu nową budowlę. Luwr był wielokrotnie przebudowywany i rozbudowywany. Dekretem Konwentu z roku 1793 Luwr został przemianowany na muzeum, które urządził wówczas znany malarz David. Od roku 1699 malarze urządzali tu swe wystawy, a Henryk IV wprowadził do Luwru artystów pozwalając im tu mieszkać za darmo.

TURKMEŃSKA TATIANA

■ Maja Kulijewa pierwsza śpiewaczka aschabadzkiej opery dzieli się wspomnieniami początków swej kariery artystycznej z czytelnikami pisma „Sowietskaja muzyka”.

Maja urodziła się w roku 1920 w jednym z autów Turkmeńii. Wcześniej osierocona zostaje umieszczona w Domu Dziecka skąd wstępuje następnie do żeńskiej szkoły pedagogicznej w Aschabadzie. W uczelni tej istnieje szkolny chór co Maje niezwykle dziwi, gdyż od wieków jej rodacy turkmeńscy nie znali w ogóle chóralnego śpiewu. Maja zdobywa się na odwagę i wkrótce zapisuje się do śpiewaczego chóru. Ze względu na piękny głos zostaje s listką chóru. W roku 1937 chór ten zajmuje pierwsze miejsce na republikańskiej olimpiadzie, a Maja otrzymuje wyróżnienie. Ona i jej koleżanki udają się teraz do Moskwy na imprezę wszechzwiązkowych występów zespołów chóralnych. Wtedy to Maja po raz pierwszy w swym życiu jest w Moskwie na operze. Wystawiają właśnie „Rigoletto”, ale opera nie robi na niej większego wrażenia.

W początkach roku 1938 Maja i jedna z jej koleżanek zostają przyjęte do Moskiewskiego Konserwatorium. Maja po raz pierwszy słyszy gre na fortepianie. Przy instrumencie siedzi Nina Lwowa Dorlijk, profesor Moskiewskiego Konserwatorium, znana śpiewaczka, żona światowej sławy pianisty Swiatosława Richter. Profesor Nina Dorlijk prosi Maję aby zaśpiewała. Ta godzi się, ale chce śpiewać wraz ze swą koleżanką. Wykonują gruzińską pieśń „Suliko”. Profesor Lwowna jest zachwycona.

W roku 1941 Maja Kulijewa wraca do Turkmeńii, gdyż w Aschabadzie powstaje opera, do której Maja zostaje przyjęta. W dniu 6 listopada 1941 roku teatr operowy inauguruje swą działalność operą „Zochre i Tachir” Adriana Szaposznikowa. Premiera spotyka się z uznaniem publiczności, a Maja święci swój pierwszy sceniczny sukces. Tak zaczyna się jej śpiewacka kariera. Prawdziwie niezwykłym sukcesem śpiewaczki staje się w roku 1945 jej rola Tatiany w „Eugeniuszu Onieginie” Czajkowskiego, operze wystawianej w Aschabadzie z librettem w języku turkmeńskim. Powodzenie opery jest ogromne, a trzeba pamiętać, że do tamtych czasów wszelkie śpiewy chóralne były czymś prawie zupełnie nieznanym w Turkmeńii.

W latach ostatnich Maja Kulijewa śpiewa w operach klasycznych i w nowych operach turkmeńskich. Zdobywa uznanie i rozgłos. W roku 1955 otrzymuje zaszczytny tytuł Ludowej Artystki Związku Radzieckiego. „Teraz — mówi Maja Kulijewa — w naszym teatrze operowym sporo jest młodziaków, która otrzymała należyte wykształcenie muzyczne w Moskwie, Leningradzie, Baku, Taszkencie i innych wielkich miastach. My jesteśmy weteranami — niestety tak nas już trzeba nazywać — ale wspominając pierwsze lata pracy w teatrze operowym spoglądamy na nie i cieszymy się: przecież to wszystko myśmy zapoczątkowali”.

SPORT I SZTUKA

■ W Pałacu Sportowym w Łużnikach — jak informuje „Litieraturnaja Rossija” — została w tych dniach otwarta wystawa dzieł sztuki. Wystawa ta zorganizowana z okazji Wszechzwiązkowego Dnia Kultury Fizycznej stała się może impulsem dla urządzania tego rodzaju wystaw malarstwa, rzeźby i grafiki o tematyce sportowej.

Na wystawie w Pałacu Sportowym znalazła się m. in. grafika zatytułowana „Bajga”, której autorem jest artysta z Almaty Jewgienij Sidorkin. Cóż to jest „Bajga”? Jest to rodzaj turnieju. Szalona galopada, żywa radość młodości, pędu, na pieciz woli — oto co udało się Sidorkinowi oddać w tym pełnym ekspresji i dynamiki dziele.

Bez strachu

NURT MAŁEJ RZEKI

„...wszystko płynie — nie wstąpiłeś dwukrotnie w nurt tej samej rzeki...”

Wszystko się wciąż zmienia, zatłaczając naturę, istoty niczego nie można powtórzyć, gdy istnienie jest faktem jednorazowym — przemianom do korzeni. Przez wiele lat oglądam w określonym czasie pewną rzekę, tę samą rzekę — coż mnie upoważnia do twierdzenia, że to ta sama rzeka? Czy jej niezmienność od lat nazwa, czy fakt, że kiedy stoję wpatrzony w nurt tej samej rzeki nam zawsze za plecami kłosek z maślanką i kefirem — może obudowanie rzeki, jej koryto, jej miasto jest niezmienne, a rzeka dynamiczna najsilniej się tu dziejąca, a raczej najwidoczniej tu się dziejąca podlega zmianom. Czy jednak dowierzać mam bezruchowi obejmującemu rzekę betonem, stalości kamienia i drzew. Zmienność rzeki oczywiście widoczna, demonstracyjna niejako, jest może przemianą mało istotną, powierzchniową, przemiana maskowana. Neruchome domy runą bezpowrotnie, pewnego dnia, gdy trzeba będzie poszerzyć ulicę, runą bezpowrotnie, pozostanie nietrwały ich obraz w pamięci mieszkańców i przechodniów obraz nietrwały, nieprzewidywalny, bo czy ktoś z nas wie jak wygląda dom, w którym mieszka? Stano- nowczo twierdzę, że mieszkańcy w innych od wyobrażonych przez nas! Wy, którzy mieszkanie na wysokich piętrach podnieście czasem głowy — ogarnie Was zdumienie, gdy tak stojąc z zadartą głową pośrodku podwórka zobaczycie jak dziwnie wygląda od zewnątrz Wasze mieszkanie. Albo: widok mieszkania po kilkumiesięcznej nieobecności... Co do mnie, wracając do Łodzi po długotrwałej podróży, obliżuje się zawsze na myśl o niespodziankach, jaką sprawią mi zewnętrzny i wewnętrzny widok mojego mieszkania. Czy może puste mieszkanie i smagane wiatrem i deszczem mury zmieniły się tak dalece w swym przedmiotowym trwaniu — czy też moje wyobrażenie o nich odkształciło się tak dalece, że dziwił mnie jako miejsce nowe, egzotyczne? Zapewnie zmieniali się (powoli) mieszkanie i (szybko) wyobrażenie o mieszkaniu. Rozpiętość tempa obu tych rodzajów zmian jest tak wielka, że przedmiotowe trwanie mieszkania w porównaniu z jego trwaniem psychicznym wydale się trwaniem absolutnym. Mała rzeka, nad którą ciągle stoję nachylony przypominała mi o sobie kilkomina kropelkami wody na dnie i na policzku. Przylrzalem się intensywnie małej rzeki i przypomniałem sobie od lat niezmienne fale — oto fala czworoboczna, oto fala stożek, fala koło — są od wiatru lat w tych samych miejscach rzeki. Ich substancja złożona jest z ustawicznie zmieniających atomów i cząsteczek, ale kształt, forma — pozostały zakomponowane przez rzeczny kamień, szczelinę w betonowym łoku i inne jeszcze nieznanne mi przedmioty. Zapewne po wielu latach nurt małej rzeki rozkręcał kamień, pogłębił szczelinę i kiedyś po bardzo długim okresie czasu zgięną falę: czworobok, stożek i koło. Ale będą trwały świadcząc o identityczności rzeki bardzo długo i wiele, wiele razy można będzie wstępować do tej samej rzeki — może nieskończoną ilość razy, może zawsze...

BERNARD SZTAJNERT

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Po drugiej wojnie światowej w której maszyną wystąpiła jako Moloch unicestwiający człowieka, swego konstruktora, gdy naruszona została dotychczasowa równowaga relacji Człowiek — Maszyna, narodził się gatunek literacki i filmowy zwany Science Fiction. Książki — klasyków literatury fantastyczno-naukowej, Lovecrafta, Bradbury'ego, Browna, niezliczona masa filmów S. F. eksponowała stare lęki ludzkości przed nieograniczonymi możliwościami techniki, jako też dehumanizacją grozącą jednostce ludzkiej w zuniifikowanym, doskonale uporządkowanym świecie przyszłości. Jednakże w swej masie obrazy S. F. nie wykraczają poza formułę komercyjnych filmów sensacyjno-przygodowych. Intryga fabularna rozwija się według sztamowych schematów myślowych, obowiązuje w poprawnym tradycyjnym melodramacie. Całe nowum sprowadza się zwykle do warstwy rekwizywów tyśiąckroć powielanych, żenująco infantylnych dekoracji obrazujących powierzchnie Księżycy, pracownię wielkiego naukowca, pejzaż ziemi, ogarniętej wojną nuklearną. Jednakże istnieją nieliczne filmy fantastyczno-naukowe, które nie akcentują aury i egzotyki naukowej baśni, używają scenarii świata przyszłości jako metafory dla rozrachunku ze współczesnością. Do nich obok „Twarzy na sprzedaż”, „Fabryki nieśmiertelnych”, należy film jednego z ambitniejszych twórców włoskich Petriego pt. „DZIESIĄTA OFIARA”. Jest to jedna z nielicznych prób

wizjonerskich, których ambicją jest skłonienie widza do refleksji, a także dostarczenie mu rozrywki. Jest to bowiem obraz o wysokich walorach widowiskowych — panoramy, kolor, gwiazdodobór aktorski, to wyniki sumiennej operatywności producenta filmu Carlo Pontiego. Jednak ten atrakcyjnie podany film zrealizowany dodatkowo wedle formuły tradycyjnej, satyrycznej komedii obyczajowej, wydaje się być swoistym precedensem. Jest to tzw. film rozrywkowy z tezą, wprowadza nas w samo centrum niepokojów i konfliktów współczesnych, ukazuje problem rozkładu człowieczeństwa pod naciskiem bodźców cywilizacyjnych. Jest rok 2000 — świat jest logicznym wynikiem rozwoju cywilizacji technicznej XX wieku. Jest to epoka absolutnej inwazji obrazu, dodajmy obrazu komiksowego, wypreparowanego z poważniejszych wartości estetycznych czy ideowych. Ludzkość karmi się papką produktów tzw. kultury masowej — dominująca tematyka: to perwersyjny seks, przemoc, wyrafinowana zbrodnia. Wszystko to prowadzi do duchowej sterylizacji i psychicznej standaryzacji ludzi, którzy zaskoczeni procesem gwałtownych przemian cywilizacyjnych nie zdolali jeszcze przystosować się do nowych warunków życia. Nie ma już wojen; świat jest zdrowy i higieniczny; zdrowe ciała, zdrowe nieskalane wątpliwościami, ni ideaми umysły. Wszystko ślicznie uporządkowane, uregulowane, zaszufladkowane. Nawet mordercze instynkty ludzi znalazły formę

usankcjonowania prawnego. Mordowanie odbywa się w aureole prawa, ba, przy blasku jupiterów telewizyjnych. Wystarczy przystąpić do fascynującej gry, zwanej „Wielkim polowaniem”. Organizuje ją potężna międzynarodowa instytucja o rygorystycznych zasadach — każdy uczestnik bierze udział w 10 polowaniach, w 5 sam jest myśliwym, w pozostałych 5 tropiona zwierzyna. Przeciwników typuje mózg elektroniczny, ofiara nie zna swego prześladowcy. Wszystkie chwytają się dozwolone, kto szybszy, sprytniejszy, pozostaje przy życiu, osiąga olbrzymi majątek i zaszczytne tytuły. Bohaterką filmu jest Karolina (Ursula Andress), jej przeciwnikiem Marcello (Marcello Mastroianni), potyczki zaś odbywają się na tle dekoracyjnego Rzymu. Cała intryga kończy się oczywiście, jak na klasyczny melodramat przystało, radosnym happy-endem — w myśl babinej zasady „miłość zwycięża wszelkie przeszkody”. Jednakże najbardziej wartościowym elementem filmu jest jego idea, gorzka refleksja współczesnego „człowieka myślącego” nad kierunkiem ewolucji naszej cywilizacji, filozoficzna zaduma nad rugowanymi konsekwencjami przez kulturę techniczną wartościami humanistycznymi.

„FAŁSZYWE BANKNOTY” w reżyserii Ivesa Roberta to barwna, bezpretensjonalna komedia sytuacyjna z genialnym portreciście stufrankówek w roli głównej i karawanem, jako głównym środkiem lokomocji. Francuzi wynaleźli niezawodną recepturę na pełną wdzięku

zabawę filmową — pięć deko sensacji, nieco pikanterii, spora dawka plankowego humoru i otrzymujemy zupełnie strawną „filmową konfekcję”. Fabuła filmu jest tak banalna, że co chwile przylipujemy się na głębokiej pewności, iż ten wąż tek jest nam skądś świetnie znany. Rzeczywiście — uroczy dobrodusznik, artysta malarz, eksploatowany przez przebiegłego fałszerza banknotów i jego sprytną przyjacielkę. Lecz nie to jest istotne, ale cała lawina humorystycznych i nonsensownych perypetii spod znaku sensacji i przygody. Szalona eskapada dosyć niecodziennym środkiem lokomocji, liczne sytuacje konfliktowe, przygoda z wirtownym playboyem, hiszpańskie wesele, halucynacje alkoholika, reprezentują co prawda humor nie najwyższej próby, lecz taki, który trafia do szerokiego widowni. Jest to humor gągowy, wynikający z konfliktu sytuacyjnego, humor przejrzysty i bezpretensjonalny. „Fałszywe banknoty” — Robertem Hirschem stoją — to świetny aktor — ukształtowanym już komediowym emplot, o dojrziałym warsztacie aktorstkim. Cała zresztą obsada aktorska legitymuje się wysoką sprawnością warsztatową — utryzymała ona jednolitą konwencję stylistyczną gry, traktując swe role z uroczym „perskim okiem”. „Fałszywe banknoty” to następna, atrakcyjna pozycja rozrywkowa sezonu ogórkowego 1968.

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„KURZAWKA”

zmienia krajobraz

Równoległe do nasypu kolejowego, około trzysta metrów od niego, ułożona była mała ulica. I tylko częste przejazdy pociągów, od Łodzi Kaliskiej, rwały jej monotony żywot. Ulicze patronowała wdzięczna nazwa sławnego kompozytora i skrzypka, Henryka Wieniawskiego. Ojciec chresty nie przewidywał zapewne, jakiego to poloneza i mazurka zagrają na owej uliczce w dobie Ludowej Polski.

1

Szarymi porankami mleczarz wyjeżdżał z ciemnego tunelu, jak tworzyła przebiegająca nasyp kolejowej ulica Obywatelska. Jego kary koń eżalpał niedźwie szlakowana uliczka, a głos chłopca budził mieszkańców uspiętych domków. Były małe, bliźniaczo podobne. Jednopiętrowe i parterowe, osłonięte od pyłu krzakami bzu. Rzadko przejechał tedy samochód, częściej rower, świtem zaś ludzie dążyli do pracy w centrum Łodzi. Szli ku północy, do Kątnej (dziś Wróblewskiego), skąd niósł się zgrzyt i dzwonięcie dojeżdżającego do krańcówki tramwaju. Za plecami ogródków, od ulicy Braterskiej, dymił komin cegielni Kluckego, i w pustym polu świeciły szyby wody zebranej w dolach po wybranej glinie. Od zachodu zabudowań nie było. Hen, aż ku torowi kolejowemu, ciągnął się płaski prostokąt pola, a w jego północno-zachodnim krańcu widać było niebo szerokie cygaro kolumna cegielni Rozenbandta przy mini uliczce Blońskiej. Jesienią ulica Wieniawskiego ożywała, albowiem wieździła na nią wieś na wozach upchanych plonem, a to: owsem, ziemniakami głowicami kapust. Szerzył się rozgwar, narzekanie koni, potem wszystko milkło; zostawała pusta ulica, czarna szlaka upstrzona żółciami łajna końskiego. Tu nawet noc okupacyjna dźwięczała cicho, że to żandarmi nie zapuszczali się w owe ustronie. Były wiec te domy schronieniem dla uciekinierów z robot niemieckich. Widywano w małych podwórkach trudno rozpoznawalnych mężczyzn, jak w szlafroczkach i turbanach na głowach walił trzepaczkami w poduchy.

2

W styczniową noc 1945 roku nad ulicę Wieniawskiego zapłonęły „choinki” i zawisił głuchy bas radzieckich bombowców. Na wysokim nasypie stał wał niemieckiego pociągu z tran sportem, który należało zniszczyć. Bliskość ulicy spowodowała, że i na nią padły bomby. Dlatego wybrałem dom pod numerem 52, gdzie przedstawia rzadki w Łodzi okaz: tego północny bok, jak ciało pożarte osną, zszarpany jest odłamkami, a owe

blizny wojenne pozostały do dziś. Mieszkańcy przeżyli noc grozy. Siedzieli w pralni, gdy bomba uderzyła w sąsiednie podwórze — w Kowalczyka i wyrwałszy kołowrót ze studni, grzmotnęła nim w pralnię, aż tynk zasypał wszystkich schronionych. Potem ludzie uciekali, by po dwóch dniach wracać do swego domu. Była już wolna Polska. Z okopów wróciła babcia Lubrańska z synem Waclawem i córkami. Do czekała się powrotu córki z Niemiec babcia Wójcikowa. Żona i teściowa wprowadził się na piętrowy tramwajarzy Jedrzejszak. Od nowa potoczyło się zwykłe życie. Zmarła wkrótce staruszka Wójcikowa, córki wyprowadziły się; potem umarł niedawno przybyły z Niemiec dziadek Lubrański. Na polu pojawił się z końmi i krowami siostry Urszulanki w szarych habitach. Pole rozłożyło się zbożem, a na wijące się wśród niego polnej drodze babcia Lubrańska i jej hoże córki wyprawy kawalerów. Zjawili się ziemiowicze, poszły w świat córki, jedna za kotoniarza, druga za kolejarza; ożenił się syn Waclaw, babcia została sama. Wkrótce otrzymała zasłużoną emeryturę (od dwunastego roku życia na przedziałni), mając więc wolny czas, chodziła po polu, pogrzebała w śmieciach, co jej już tam zwozili (a można było znaleźć cenna rzecz, syn znalazł złote kolczyki), lecz najbardziej to lubiła zbierać „babie uszy”, przypominające kolorem pieczarki, o spiczastych kapeluszach grzyby. Młodsza córka pani Janiny Spiewakowskiej, Celina, też opuściła rodzinne gniazdko, zaczepiwszy się gdzieś w polskim filmie. Przybyły dwie samotne siostry Spiewakowskiej. Tak wiec w domu pod 52 żyły cztery samotne kobiety i rodzina Jedrzejszaka, któremu najpierw córka, a potem syn przyszedł na świat. Zmieniło się więc życie mieszkańców do tej pory choć widok z ich okien pozostał niezmieniony. Pole szerokie, dudniące pod niebem pociąg, wciąż to samo. Niedziela była senna, pod nasypem w gliniakach Marszałka dzieci zażywały brudnej kanieli, a w trawie spałi ludzie z twarzami przykrytymi gazetami. Takie były ich świąteczne majówki.

3

Jeszcze ostatni dech ożywienia rzuciła tu mała kofelka, której szwiny przepływał pod mostem nad Obywatelską przez „Czarną wodę”, aż ku ulicy Franciszka przy Pabianickiej Drzwoniły żelazne koleby na kółkach, siwe konie machały łbami, wywoziły resztki eliny. Wkrótce ustąpiła cegielnia Rozenbandta, a po niej śmiercia naturalna zmarła cegielnia Kluckego. W opuszczonej budowni gnieździły się białe cotele i Cyganie, którzy też nie zagrżali miejsca,

gdź niebawem mury jakby były zapadać w ziemię, burzone od wierzchołka ręki robotników. Ujednoliciło się życie mieszkańców spod 52; jednak biegi puste dnie samotnych kobiet, tylko u Jedrzejszaków dzień był ubarwiony śmiechem dorastających dzieci.

Ale od Braterskiej, Różanej i Kątnej powiało wielka robota; rosły w niebo ogromne, przysadziste kotłiska, dźwigały się smukłe kominy, wieczorem rozmigotane światłem sygnalizacyjnym. Tam powstawała burzycielka kominowego krajobrazu — wielka elektrociepłownia. Uliczkę Wieniawskiego przecięły torb boczniicy kolejowej. Tedy beda przepływać dziesiątki wagonów węgla z czarnego Śląska, a z tego węgla będą setki ton popiołów i dymu. Musi wiec powstać nieodrodne dziecko wielkiej elektrociepłowni; musza nawodnić się płucą dla wielkiej Łodzi.

Babcia Lubrańska nie pamięta tego dnia ani roku, lecz ja wiem, że stało się to w 1957. Któregoś ranka mieszkańców zbudził ryk motorów. Po polu siostry Urszulanki toczyły się stalowe potwory: lśnialami łbami nchały zwały ziemi, zawałyły przepaściste doły i brudne sadzawki. Chodźli wiele dni, a potem rosły baraki, instalowano oświetlenie, rozjeżdżona jezdnia pedziły samochody z budulem, nad świeżą ziemią rżały topiace się konie wozaków. Tak warszawski „Kablometon” pod wodzą inżyniera Skrzywicca rozpoczął budowę fabryki „domów z dymu”. Darła szaty Banaszkiwa, kiedy jej pod oknem zwalono sterte gliny, Babcia Lubrańska uśmiechała się, bo ten ruch przerwał monotonię jej życia. Nie wytrzymała zatknięcia z wielką budowa Janina Spiewakowska. Otumaniona smotnością popadła w rozdrażnienie, gdy wokół wrzało wszystko. Dwa razy targała się na własne życie. Dziś jest w domu starców. Maria Jedrzejszakowa natomiast trafiła na budowę, najpierw jako sprzątaiczka biur. Ona pierwsza skorzystała z dobrodziejczyczych usług nowego zakładu.

4

To był naprawdę ciężki teren. Jak wspomina pani Barbara Kozłńska, uliczka Wieniawskiego zmieniła się w rozedrgana rzekę brudnozłotej mazi, która spychano spychaczami, ale z powrotem wlewała się do koryta. Pani Basia rozpoczęła prace od opracoctków zakładu (1957) i została do dziś. Jest kierownikiem działu zbytu. Pamięta dobrze dzień 1 października 1960 roku. Przyjechał wiceminister leżni zócie, wiceprezidentzycy MRN, Lorens i z wielką pompą ruszył Zakład Produkcji Prefabrykatów Budowlanych, czyli fabryka „domów z dymu”, albo nazwana przez okolicznych mieszkańców „kurzawka”. Do produkcji przeszła Maria Jedrzejszakowa pozostałi budowniczo wie Lechański i Miłacz (obecnie operator młyna); pozostał inżynier Socha, dziś główny energetyk.

Od ośmiu lat dyrektoruje inżynier Gwidon Hanausek. Zaczynał te prace nie bez niepokoju. Podobnego typu zakłady pracowały już na licencji szwedzkiej ale Polacy opracowali własny sposób produkcji. Jednakże produkcje oparta na pile dymnicowym rozpoczęli pierwsi na świecie Polacy a łódzki zakład jest drugim! Od nas uczyli się tego państwa demokracji ludowej, pracow-

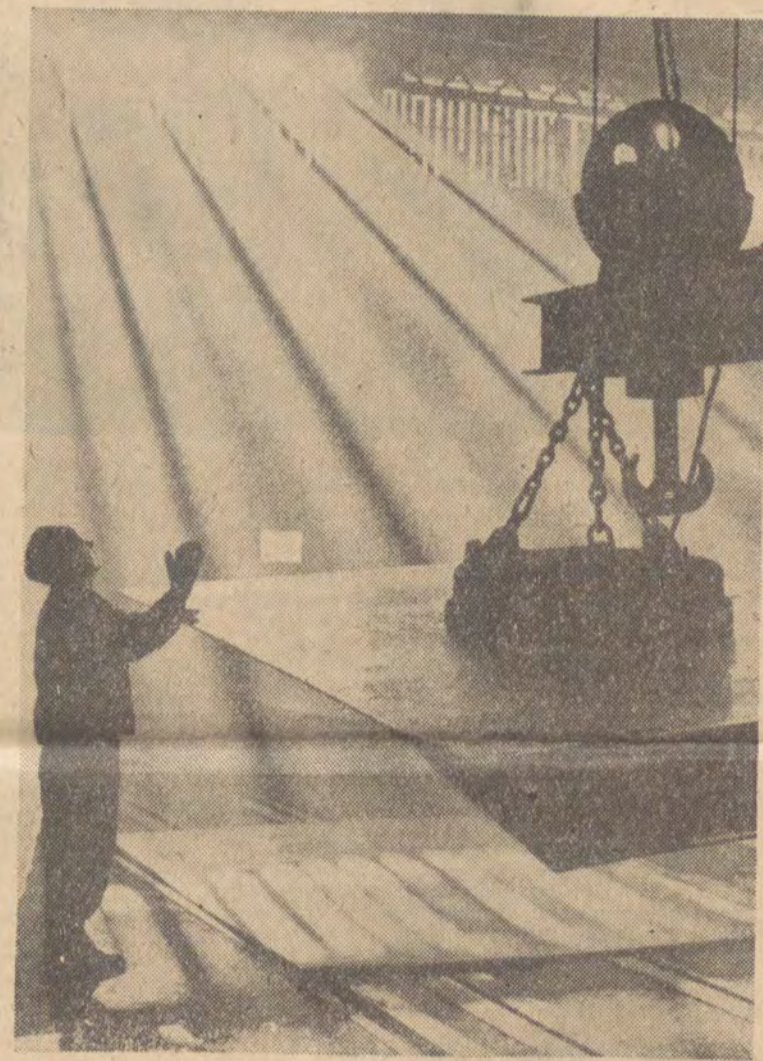
niec łódzkiej „Kurzawki” budowali tego typu zakłady w Mongolii. Korzystając z gościnności dyrektora Leona Graczyka, przyjechałem się tej dziwnej fabryce. Pośrodku placu kompleks potężnych budynków i hal. Tu mieszcza się oddziały obróbki mechanicznej, nakładania faktury, nad wszystkim zaś góruje budynek młynowy.

5

Dyrektor Graczyk powiada, że on, podobnie jak Rosja Ameryce Alaskę, sprzedali Przemudowei część terenu od ul. Obywatelskiej, a teraz samym im ciasno, bo od Kątnej przycupnęła „Chemobudowa” z bazą transportowa. Tak oto cała ulica Wieniawskiego okryła się przemysłem. Od zachodniej strony, na owych gliniakach stercza już żebra hal dla Filmu Polskiego. Wokół pna się bloki, wstawiają szkliste łby spośród ciemnych dachów parterówek. Niedobry zbójca ulica Felsztynskiego dobija już pod „kurzawkę”. Lecz oprócz zmiany krajobrazu widoczny jest wielki awans uliczki, gdzie siostry zakonne pasły krowy. Ulica okryła się twarda nawierzchnia z sześciokątnych płyt przybło kurzu, ale i wiele zieleni; topól,

Krzewów, Kaszlanowców i Klonów. Na koszt zakładu przeprowadzono kanalizacje i wodociąg, na ulicy stoją zielone studzienki. Podeczas budowy wyburzono tylko jeden dom przy Blońskiej, ale mieszkańcy otrzymali nowe, jasne mieszkania. Zbudowano przy Gdańskiej dom dla pracowników. Około 15 proc. załogi stanowią mieszkańcy Wieniawskiego i kilku ulic okolicznych. W prawym skrzydle budynku dyrekcji zamieszkała Dzielnicowa Przychodnia Obwodowa nr 6.

Babcia Lubrańska jest zadowolona. Dawniej, mówi, to tak pusto było, smutno, tylko te pociągi!



Lewym okiem

ROZE, SALCESON I BRZOSKWINIE

W nowoczesnych miejskich mieszkaniach nie ma szerokich parapetów okiennych, na których można by postawić gąsior z wiśniami, zawiązany białą gazą i donicę z żelaznymi liśćmi. Między gąsiorami a donicą nie siedzi żółty kot i nie leży kłębek włóczki, przebity długim metalowym sztydłem.

Tylko w wiejskich domach zostały jeszcze takie okna. Zastanawiałem się nieraz, jak to jest. Stoł mała chatynka pośród samych kwiatów,

około zieleń aż kipi, las, ogród, łąka, malwy — co kto chce. A jeszcze tego wszystkiego za mało ludzom mieszkającym w chatynce — jeszcze jedyną malutką okienko zastawili szczelną tuzinami doniczek, jeszcze i tam muszę kwitnąc pelargonie, ulanka, muszkatel i prymulka. Światła od tego mniej, ale coś rośnie, żyje, cieszy. Prosty a wymowny dowód, że nie wystarczy człowiekowi wygoda, użyteczność, praktycyzm. Musi być jeszcze naddatek, luksus, okruszyna piękna.

Praktyczne, nowoczesne panie domu powiada, że po liściach lata mszyce, że w ziemi bywają robaki, a w ogóle to trzeba podlewać, coś wiednie, coś się rozleje. Jak ma być pięknie — mówią — to możemy sobie postawić galazkę jabłoni z plastyku, albo różę piękniejszą od prawdziwych. Stoją te różę i te galazie w wielkim dziwacznym dzbanie na podłodze, bo na oknie nie mogą. Stoją i nie tylko same nie żyją, ale i cały pokój od nich martwieje.

W witrinach największych kwiaciarni wystają lasy kaktusów. Lasy? Lasy to nie przypomina. O czym w ogóle przypomina kaktus? Jest idealnie wyjebcowany, jest egzotyką do szczęcia, nie się z niego nie rozumie, ani to łodyga, ani liść, gdzie to ma kwiaty, gdzie paczki? Mamy urodzić na udziwnianie. Cała współczesna sztuka siega do coraz wymyślniejszych kształtów, nie sugerujących niczego drażniących wyobraźnię swą absolutną nieporównywalnością. Kaktus jest udziwnieniem światła roślinnego.

Kaktusy są modne. Mają tę zaletę, że nie wy-

mogają prawie żadnego starania można zapomnieć o ich podlewaniu, mieszczą się w malutkich doniczkach, którym wystarcza listwa okienna, zastępująca parapet. Mało kto potrafi je nazwać po imieniu, Kaktus i już. Hoduje się je na zasadzie kolekcjonowania osobliwości a nie — atawistycznego zamiłowania do ogrodnictwa.

Kolekcjoner, to trochę hobbyista, trochę snob, trochę mizantrop. Ogrodnik, to człowiek o dobrym sercu i dobrych pracowitych rękach. Wole mieszkanie z jedną bujną paprocią, z jednym pączkiem słonecznych nagietek, niż mieszkanie pełne kaktusów. Ale wolę tuzin najbardziej zwiariowanych kaktusów od jednej wylizanej, wylakterowanej, odrobionej „jak żywa” galazki z tworzywa sztucznego. Mimo że taka kolorowa, nie myślę na jej widok o pewnej alejce w pewnym ogrodzie, tylko o salcesonie z gipsu na wystawie sklepu mięsnego i o potwornych brzoskwiniach z marcepanu w naróżnej cukierni.

Hodujemy kaktusy. Są modne, dziwne i żywe. Ale na stole niech stoi bukiet wcale nie dziwny, za to pelen radości i piękna. Bukiet kwiatów.

CWIĘK